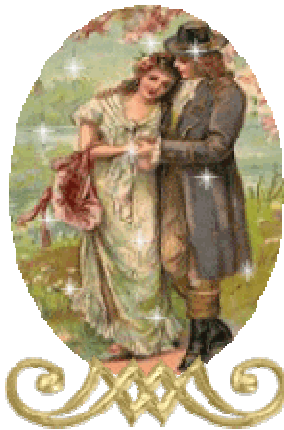




EMMA GOLDRICK

Panna młoda z Balleymore



Tytuł oryginału: The Balleymore Bride

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- I to wszystko, co po nim zostało? - Emma rozejrzała się po malusieńkim pokoiku. Więc on tutaj mieszkał. Zniszczone umeblowanie, zardzewiały zlewozmywak. Przez dawno nie myte nieduże okienko widziała znajdujące się w opłakanym stanie budynki Południowego Bronxu.

- To wszystko, co zostawił, droga pani - kobiecie najwyraźniej spieszyło się. Pokoik nie był luksusowy, ale przynosił jej pewien zysk. Pora szukać nowego lokatora. - Oj, byłabym zapomniała - dodała. - W piwnicy zostały te jego dziwaczne malowidła. Poproszę Franka, żeby przyniósł na górę. Czy pani aby pamięta, że zalegał z czynszem za ostatni miesiąc?

- Oczywiście, proszę bardzo - Emma sięgnęła do portfela.

- To był porządny człowiek, pani Ballentine - gospodyni zdobyła się na wymuszony uśmiech, gdy zgarniała pieniądze. - Mam nadzieję, że nie zabierze pani dużo czasu zbieranie jego rzeczy. Nie bardzo mam czas czekać na panią.

Emma odgarnęła z twarzy gęste, rude włosy.

- Oczywiście.

- Czy on był może pani krewnym? - zainteresowała się gospodyni.

- Był moim ojcem - odparła Emma.

Moim ojcem, powtórzyła w myślach. To był mężczyzna, który zaprowadził ją do domu dziecka i tam zostawił. Miała wtedy pięć lat. Płakała, żeby wrócił po nią. Ale odszedł.

- Nie widzieliśmy się ładnych parę lat - wyjaśniła. - Gdzie...?

- Pochowano go na koszt miasta, droga pani. Nie wiem dokładnie, gdzie. Na Potters Field, jak sądzę.

Gospodyni wyszła na chwilę, zostawiając ją samą w pokoju. Emma usiadła na rozklekotanym łóżku. Tak, dużo o nim wiem, pomyślała. Edward Everett był porządnym człowiekiem. Żałuję, że nie miałam okazji go poznać.

Wszystkie jej marzenia przez całe życie koncentrowały się wokół niego. Gorąco marzyła, że kiedyś po nią przyjdzie. Czekala na niego. Raz tylko zdarzyło się, że przyszedł ją zobaczyć. Na zakończenie szkoły średniej, w dniu rozdania dyplomów. Nie rozmawiali ze sobą. Poznała go jednak, chociaż stał daleko. Nie zawołał jej, a ona nie podeszła do niego. Wyglądał obco, jakże inny od ojca z jej snów. Ale przecież to był jej ojciec.

Dużo później, gdy zastanawiała się nad tym, zdała sobie sprawę, że on cały czas w jakiś tam sposób musiał interesować się jej sprawami. Bo jak inaczej mógłby wiedzieć o rozdaniu dyplomów? Albo to, że wysłał jej kiedyś kartkę na piętnaste urodziny. A rok później dostała nawet list od niego. Niebiosa tylko wiedziały, co pragnęła znaleźć w tym liście. Jakieś miłe słowa, zaproszenie do połączenia się z nim... List nie zawierał nic takiego. Przez wiele lat zastanawiała się rozpaczliwie, co uczyniła tak bardzo złego, że ją porzucił. Miała wtedy zaledwie pięć lat, ale przecież musiał istnieć jakiś powód.

Lata mijały, a ona nadal czuła gorycz tego rozczarowania. A niedawno nadszedł inny list. Włożyła rękę do kieszeni zakietu i delikatnie pogłaskała zaplamioną niedużą karteczkę. Adresowany był ołówkiem, tak jak ten wcześniejszy. Wyjęła list z kieszeni, poprawiła okulary w złotej oprawce, i jeszcze raz przeczytała:

„Emma, nie byłem w porządku. Może inni będą lepsi. Jedź do Balleymore”.

Bez podpisu. Oparła palce na krawędzi kartki. Przez wszystkie te lata spędzone w kilku domach dziecka tak bardzo potrzebowała jakiejś rodziny. Podskoczyłaby z radości, mając szansę dowiedzenia się czegoś o sobie, o tajemniczym Balleymore. Po co miała tam jechać? Gdzie ona w ogóle słyszała tę nazwę? Dawno temu. Daleko, na wsi. Śnieg zimą, czasem kilkumetrowe zasy. Stary dom. Ludzie poruszali się tam cicho, dostojnie... Co to było?

Było coś bolesnego w tych wspomnieniach, ale nie wiedziała co. Balleymore. Stamtąd pochodził jej ojciec. Albo matka. Każdy miał matkę, nawet jeżeli jej nie znał. Czy to nie dziwne? - pomyślała. Pamięta prawie wszystko. Oprócz matki i Balleymore. Gdzie to było?

Kim ja jestem? - pytała siebie. Nie mam niczego w świecie, co byłoby moje. Oprócz ostatnich czterech lat, kiedy moje książki zaczęły pojawiać się w księgarniach. Na pewno gdzieś są jacyś ludzie, którzy wiedzą, kim jestem.

Postanowiła, że ich odnajdzie.

Włożyła do torby małą paczuszkę papierów, zawiniętą w plastik, którą zostawił jej ojciec. Była zbyt zmęczona, żeby to oglądać właśnie teraz. I jeszcze raz rozejrzała się po pokoju, w którym on mieszkał.

Podróż z Bostonu była zachwycająca. Emma wypożyczyła buicką, uroczy samochód odpowiedni do nowoczesnej autostrady wiodącej na zachód. Gdy tereny wokół stały się faliste, zaczęła się rozglądać za jakimiś znakami. Jeszcze niedawno dostanie się tutaj uważała za niemożliwe, a tymczasem poszło jak z płatka. Teraz trzeba będzie znaleźć ten dom. Może też pójdzie to gładko. Ale jak znaleźć dom, jeżeli nie zna adresu? Dom, który ma tylko nazwę. Kiedy jeszcze siedziała w pokoju hotelowym w Nowym Jorku i usiłowała pozbierać myśli, zastanawiała się, co trzeba zrobić, żeby odnaleźć coś, albo kogoś. Zatrudnia się detektywa. Zadzwoiła do agencji detektywistycznej Trentmore. Spodziewała się, że wyśmieją ją albo zmyją jej głowę. Zamiast tego następnego dnia otrzymała telefon z agencji, krótką i rzeczową informację: Ustalenie faktów zajęło nam cztery godziny. Jest nam pani winna dwieście pięćdziesiąt dolarów.

Emma odetchnęła z ulgą. Na tyle na pewno ją stać.

- Czy można wiedzieć, w jaki sposób uzyskał pan tę informację? - zapytała.

- To było proste - odparł mężczyzna. - Zadzwoń do Narodowego Rejestru Struktur Historycznych. I zdołaliśmy ustalić, że jest to dom w górach w zachodniej części stanu Massachusetts. Generał Ephram Ballentine mieszkał tam w roku 1768. Czy interesują panią szczegóły związane z tym miejscem?

Tak, interesowały ją. Zanotowała wszystko co trzeba, podziękowała młodemu mężczyźnie i wysłała czek, zanim jeszcze zastanowiła się nad treścią tych informacji. Następnego dnia po gwałtownej wymianie zdań w wydawnictwie, zarówno z agentem, jak i redaktorem, kupiła bilet na samolot i przyleciała do Bostonu. Jednak redaktorowi udało się wymusić na niej obietnicę, że napisze w górach jeden ze swoich dreszczowców.

Ciężarówka przejeżdżająca obok niej, pędząca po serpentynach z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę, zatrafiła przeraźliwie. Emma drgnęła, strącona z obłoku marzeń.

Gdzie jest ten dom? - pomyślała z niepokojem. Mijała przeróżne drogowskazy. Zwolniła, by mieć pewność, że nie przeoczy żadnego z nich. W końcu znalazła ten, którego szukała. Drogowskaz kierujący w góry do obiektu historycznego Balleymore.

Zjechała z autostrady i już parę minut później jechała górzystą drogą. Wzniesienie za wzniesieniem, każde wyższe niż poprzednie. Droga zwężyła się. Najpierw do dwupasmowej, potem do jednopasmowej. Gdy już wydało jej się, że wyżej nie można, znowu ujrzała drogowskaz z napisem Balleymore. I przy tym mały, metalowy znak, jaki widziała kiedyś na wsi w Nowej Anglii. Obiekt historyczny Balleymore. Emma przyhamowała, zjechała na pobocze drogi. Nie zdawała sobie sprawy, w jak wielkim była do tej pory napięciu. Bolały ją ramiona, obraz zamazywał jej się przed oczami. Zaciągnęła ręczny hamulec i wysiadła z samochodu. Z radością rozprostowała nogi. Napis na metalowej tabliczce głosił, że kiedyś mieszkał w tym domu generał Balentine, bohatersko poległy w bitwie pod Ticonderogą. Emma oparła się o drogowskaz, wyjęła z kieszeni

chusteczkę i otarła pot z czoła. Ubrała się konserwatywnie na tę podróż. Granatowa garsonka okazała się jednak nie najlepsza na upalny dzień. Z włosów ciasno upiętych w elegancki ko-czek zaczęły wyslizgiwać się spinki. Ephram Balentine, pomyślała. Na pewno jakiś jej krewny. Ale jeśli nawet okaże się, że tak nie jest, i tak będzie się przy tym upierać. Gdy doszła do tego pogodnego wniosku, zdjęła okulary i zaczęła przecierać szkła.

Zaraz jednak nastrój jej się pogorszył, a to z powodu jednego nieuprzejmego kierowcy. To wystarczyło, żeby zepsuć opinię wszystkim kierowcom stanu Massachusetts. Właśnie gdy dochodziła do swojego samochodu, usłyszała donośny dźwięk klaksonu i przemknął koło niej dwuosobowy samochód sportowy z szybkością promu kosmicznego. Emma z przerażenia upuściła zarówno okulary, jak i chusteczkę.

I chociaż była to szosa asfaltowa, podniósł się tuman kurzu jakby na drodze gruntowej. Aż zaniósła się kaszlem.

Była wysoką, zdrową dziewczyną, ale bez okularów niewiele widziała i była wściekła na tego kierowcę. Mruknęła kilka słów, niestosownych może dla młodej damy, ale zupełnie zrozumiałych u pisarki, która z niejednego pieca chleb jadła.

Tymczasem odnalazła okulary, ale okazały się tak brudne, że do niczego się nie nadawały. Emma wślizgnęła się na tylne siedzenie i wygrzebała z torby zapasowe. Mruknęła jeszcze parę epitetów pod adresem kierowcy. Przez chwilę próbowała doprowadzić do porządku włosy, z których wypadły spinki. I znowu ruszyła w drogę. Zza zakrętu wynurzył się ten dom. Był zupełnie niepodobny do tego, jaki sobie wyobrażała. Sądziła, że będzie przypominał drewniane domy typowe dla 1768 roku. Zamiast tego ujrzała kamienną fortecę z pięterkiem. Do części centralnej dobudowano dwa skrzydła, tak że dom miał teraz kształt litery U. Jak wiele domów w Nowej Anglii pomalowany był na biało. Niewielka kopuła zdobiła dach części centralnej.

Emma zwolniła i znowu się zatrzymała. Obie dobudówki tworzyły jakby ramiona, wyciągające się w jej stronę w serdecznym powitaniu.

I w tym momencie znowu białe auto wynurzyło się zza wzgórza, zatrąbiło przeraźliwie, mijając Ernę zaledwie o kilka centymetrów. Odskoczyła. To być może uratowało jej życie, ale przeszkodziło w dojrzeniu twarzy niekulturalnego kierowcy. Cofnęła się.

Tu nie ma dla mnie miejsca, pomyślała. Oparła ręce na kierownicy. Palce jej drżały jak w febrze. Nie! - zbuntowała się nagle. Tu jest dla mnie wystarczająco dużo miejsca.

Zacisnęła ręce na kierownicy, żeby zdusić drżenie palców.

Wjechała w podwórze. Droga prowadziła do czegoś, co mogło być garażem albo jakimś budynkiem gospodarczym. Panowała cisza, jakby nikt w okolicy nie mieszkał. Emma zsunęła się ze swego obłoku marzeń i stanęła oko w oko z rzeczywistością - nikogo tu nie było. Pomyślała, że w takim razie będzie musiała pojechać do miasta i znaleźć jakiś hotel. „Tylko tchórz porzuca z oczu wrogów”, przypomniał jej się cytat z książki o Napoleonie Bonaparte, najgorszej, jaką kiedykolwiek czytała. Otworzyła drzwiczki samochodu, po czym zamknęła je z głośnym trzaskiem, mając nadzieję, że ktoś usłyszy.

Usłyszał. Wokół domu zaczęły biegać dwa groźne dobermany, czarne jak noc i straszne jak diabły. Zawarczały głucho, obnażając kły.

Zaskoczona Emma zaczęła ostrożnie przesuwać się w stronę domu. Psy podchodziły coraz bliżej.

W ostatniej chwili znalazła niedużą niszę prowadzącą prawdopodobnie do drzwi frontowych. Walnęła w drzwi kilka razy pięścią, ale bez rezultatu. Psy zatrzymały się w pewnej odległości, ale bynajmniej nie przestały interesować się jej osobą. Musi być jakiś sposób, żeby się dostać do środka, pomyślała. Szukała cierpliwie, jednocześnie nie spuszczać

oczu z psów. Nie było jednak w ścianie żadnego guziczka, niczego, co mogłoby być dzwonkiem. Przy drzwiach wisiał ciężki, żelazny łańcuch, pociągnęła go i nagle rozległo się bicie dzwonów. Donośny dźwięk pochodził raczej z góry niż z wnętrza budynku. Kopuła na dachu prawdopodobnie była dzwonnica.

Drzwi otworzyły się wreszcie, choć tylko do połowy. Jednakże wystarczająco, by Emma mogła zobaczyć postać kilkunastoletniej dziewczyny.

- Co pani chciała? - zapytała nastolatka.

- Psy... - wyjąkała Emma. - Proszę mnie wpuścić.

- Ja nie mogę pani wpuścić - odparła poważnie dziewczyna. - Nie wolno mi otwierać drzwi z powodu psów.

- Jeżeli mnie nie wpuścisz, to nie ręczę za siebie - zagroziła Emma.

W tym momencie dobiegł ją z wnętrza jeszcze inny głos.

- Hilda, co się tam dzieje?

Drzwi otworzyły się nieco szerzej.. Za drobną, może szesnastoletnią dziewczynką ukazała się starsza kobieta o siwych włosach i posępnym spojrzeniu.

- Szu-szu - zamachała fartuchem na psy. Cofnęły się niechętnie. - Dzień dobry - odpowiedziała kobieta na przywitanie Emmy. - Ja jestem Edna Macrae - przedstawiła się.

- A pani... Emma? Emma, czy to ty?

Wyglądała na absolutnie zaskoczoną. Oczy jej mało nie wyskoczyły z orbit.

- Ja... Tak... Nazywam się Emma Elizabeth Ballentine. Skąd pani mnie zna? Przepraszam, czy mogę wejść? Mało nie umarłam ze strachu przez te psy.

- Wejdz, dziecko. Wejdz, proszę bardzo. Hilda, zagrzej wody na herbatę. Mój Boże, przecież ona jest zupełnie roztrzęsiona. Wejdz, Emma... - Pani Macrae rozpostarła szeroko ramiona. Emma, nie wiedząc dlaczego, podeszła do niej i nagle padła jej w objęcia.

- Emma... Emma... - mruzczała starsza pani - tyle lat. Gdzie ty byłaś przez ten czas, drogie dziecko?

- Ja nawet nie wiem, gdzie jestem teraz. Ja szukam... Czy to ten dom?

- Tak, to twój dom. Wejdz, moja panno. Dobrze znowu cię widzieć.

Sapiąc ze wzruszenia zaniknęła wielkie, dębowe drzwi i poprowadziła ją poprzez ciemny korytarz.

- Jak dobrze zobaczyć cię znowu - mruzczała starsza pani.

Za chwilę otworzyła jakieś drzwi i weszły z ciemnego korytarza do olbrzymiego, rozświetlonego pokoju. Wielkie okna, ciężki, rzeźbiony kominek przy północnej ścianie.

- Siądź tutaj - poprosiła gospodyni.

- Skąd pani mnie zna? - zapytała Emma. - Przecież nigdy mnie tu nie było.

- Pracuję w Balleymore od wielu lat. Już wtedy byłam tutaj gospodynią. Zmieniałam ci pieluszki, myłam cię, cesałam, uczyłam mówić, uczyłam chodzić... - mówiła pani Macrae głosem zachrypniętym ze wzruszenia. - Przez cztery lata świata poza tobą nie widziałam. A potem on cię stąd zabrał.

- Kiedy miałam cztery lata?

- Tak. Miałaś wtedy cztery lata. Ale nic się nie zmieniłaś. Ani trochę. Oprócz tego, że jesteś dużo wyższa. I trochę poważniej wyglądasz w okularach. Zielone oczy. Nigdy nie mogłam zapomnieć tych ogromnych zielonych oczu. I te rude włosy. Nikt nie ma włosów o takim odcieniu.

Pani Macrae przyglądała się jej posapując ze wzruszenia.

- Musisz być głodna. Jak długo tu jechałaś?

- Dziś rano przyleciałam samolotem do Bostonu... - zaczęła wyjaśniać Emma.

- Nic dziwnego, że jesteś zmęczona - przerwała jej gospodyni. - I zupełnie roztrzęsiona. Poczekaj tutaj minutkę, a ja pójde do kuchni. Przyniosę herbatę i coś do jedzenia. A potem mi wszystko opowiesz.

Emma usiadła w wygodnym fotelu. Po raz pierwszy tego dnia czuła coś na kształt spokoju. Położyła ręce na poręczach fotela, oparła plecy. To było dziwne powitanie. Po tylu latach, i po przejechaniu takiej odległości, spotkała kogoś, kto ją zna. Oparła się wygodniej i na moment przymknęła oczy. To było uczucie, jakiego nie doznała nigdy wcześniej. Miała wrażenie, że jest w domu i nie umiała sobie tego wytłumaczyć. Ale to było miłe.

Gdzieś daleko zegar wybił godzinę. Mogła policzyć dźwięczne uderzenia. Była czwarta po południu. Pani Macrae weszła do pokoju z nastolatką niosącą tacę.

- Postaw to tutaj na stole, Hilda - powiedziała starsza pani. - O, tak. Dziękuję. A teraz idź na górę i przygotuj dla pani zielony pokój. A teraz, Emmo Ballentine. Kanapki z szynką, herbata. Posił się, moja panno.

Na pewno było ciepło i Emma nie mogła zrozumieć, dlaczego drży w niej każdy mięsień. Ostrożnie podniosła do ust gorącą filiżankę i starając się utrzymać ją w drżącej dłoni, pociągnęła parę łyków.

- Czy pani mnie znała, jak byłam dzieckiem?

- Znałam cię, moja panno. I znałam twojego ojca. Jak on się miewa?

- Niestety... nie przywożę dobrych wieści. Mój ojciec zmarł w Nowym Jorku trzy miesiące temu.

- Musisz czuć się straszliwie samotna - westchnęła starsza pani.

- To nie całkiem tak - odparła Emma. - Prawie całe życie byłam samotna. Śmierć ojca nie mogła już niczego zmienić. Porzucił mnie, jak miałam pięć lat i od tej pory zaliczyłam z pół tuzina różnych domów dziecka.

Pani Macrae łyzy zakręciły się w oczach, ale skinęła głową z niemą prośbą, by Emma opowiadała dalej.

- Na szczęście te dni mam już za sobą - uśmiechnęła się Emma. - Obecnie jestem samodzielna i zupełnie dobrze

zarabiam. Nigdy przedtem nie słyszałam o Balleymore. W ostatnich dniach życia ojciec napisał do mnie krótki liścik. Chciał, żebym tutaj przyjechała.

Sięgnęła do portfela i wyjęła starannie złożony ostatni list od ojca. To znaczy tę niedużą karteczkę, którą zdążył jej przysłać przed śmiercią.

- Powinnaś była przyjechać tu dużo wcześniej - rzekła gospodyni z westchnieniem. - Źle się stało, że patrzyłam na to wszystko z założonymi rękami. Myślałam wtedy, że nic się nie da zrobić. Że tak musi być.

Emma nie bardzo mogła zrozumieć ostatnią wypowiedź, więc tylko dodała:

- W ogóle przedtem nie wiedziałam, że to miejsce istnieje.

- No dobrze - uśmiechnęła się pani Macrae. - Zróbmy tak, żebyś przynajmniej teraz czuła się tu jak w domu. To jest miejsce, które zawsze było gotowe przyjąć cię znowu. Wszyscy na ciebie czekamy.

Jacy wszyscy? Coś tu rozpaczliwie nie pasowało. Jakby były jakieś sprawy, które pani Macrae chciała pominąć... Intuicyjnie czuła, że coś tu jednak nie pasuje.

- Wszyscy, to znaczy kto? Czy mam dużą rodzinę? Braci? Siostry? Ciotki? Wujów? - gwałtownie dopytywała się Emma.

- Nie - odparła pani Macrae ze współczuciem. - Jesteś ostatnią z rodu. Jedyne dziecko twoich rodziców. Zresztą Balentine'owie nigdy nie byli wielką rodziną.

- Tak... To bardzo dziwne miejsce. - Emma czuła, że jej pytania sprawiają starszej pani jakiś kłopot i dlatego nie pytała dalej.

- Dziwne?

- Żadnych domów wokół. Żadnego miasta w pobliżu. Ani nawet wsi.

- Ach - zaśmiała się gospodyni. - To duma naszego generała. Zawsze chciał być wyżej od innych i ich bronić. Zbudował ten

dom wysoko, a przy tym dokładnie w miejscu, gdzie stał przedtem drewniany fort, który spalili Indianie.

Przyśiągł, że to się już więcej nie powtórzy. Zbudował dom z kamieni. I wkrótce potem wyruszył na wojnę. I już nigdy tutaj nie wrócił. Prawdziwy bohater. Bardzo sławny człowiek.

- Tak sędzę - rzekła Emma. - Choć nigdy przedtem o nim nie słyszałam.

Dwa łyki gorącej herbaty przywróciły jej ciału spokój i właściwą temperaturę. Kanapki były naprawdę pyszne.

- Czy w tym domu nikt nie mieszka? - zapytała.

- Nie jest taki pusty, jak mogłoby się wydawać. Kilka osób dałoby się tutaj znaleźć. Trzy na górze. Hilda i ja na dole. I on. Pracuje na polu, a właściwie nadzoruje pracę na polu. Przychodzi tutaj kilka razy dziennie.

Emma skinęła głową, jakby wszystko rozumiała. Ale jedno pytanie cisnęło jej się na usta.

- Kto: on?

- On. Pan Weld. John Weld. On jest tu zarządcą. On podejmuje decyzje. On i prawnicy.

- Czy on jest właścicielem? - zapytała Emma.

- Nie, skądże znowu. On jest tylko zarządcą powołanym przez sąd lokalny. Ona, na górze, jest właścicielką. Przynajmniej tak mi się wydaje. Z nią jest w ogóle niedobrze. Trudno się z nią dogadać. Praktycznie prawie się nie widzimy. Ale teraz opowiedz o sobie. Czym się zajmujesz?

- Pisaniem, można powiedzieć. Napisałam cztery książki, które dobrze się sprzedają. Powieści. Może nie są światową rewelacją, ale dwie z nich „New York Times” umieścił na liście bestsellerów.

- Pisziesz, masz talent. To zrozumiałe. Musisz mieć zdolności. Twoja matka była malarką. Ojciec też malował, ale nie tak dobrze jak ona. A teraz nasza Emma: wybitna pisarka.

- Wybitna to za dużo powiedziane - zachichotała Emma. - Ale nie taka zła. Myślę jeszcze o sobie jako o czeladniku, uczniu.

Jeszcze bardzo wiele muszę się nauczyć. Nie mam dostatecznej wiedzy o ludziach, miejscach, rzeczach. Nawet nie wiem, kim ja jestem.

- Właśnie odnalazłaś swoje miejsce. Zapadła cisza.

Emma poczuła, że oczy jej się zamykają. Próbowwała otwierać je na siłę, ale w końcu przestało jej się to udawać* Filiżanka po herbacie zakołysała się w jej ręku. Pani Macrae podeszła i ostrożnie postawiła filiżankę na stole. Emma już tego nie zarejestrowała. Oparła się o krzesło.

- Balleymore - wymamrotała zasypiając. - Dom? Więcej już nic nie słyszała. Mózg jej musiał odpocząć po

nawale informacji. Po tych wszystkich latach niepewności, ciężkich doświadczeń i lęków. Czy ja tutaj należę? - pytała się w myśli. Zapadła w głęboki sen. Tymczasem dzień się kończył, zachodziło słońce.

Trzasnęły drzwi. Mocny głos zapytał o coś szorstko i niemal groźnie. Emma wtuliła się mocniej w głąb fotela, starając się otoczyć ciszą jak tarczą. Nagle ktoś energicznie potrząsnął ją za ramię.

- Dzień dobry. Co pani tutaj robi?

Emma spróbowała otworzyć oczy. Potrząsnął ją znowu. Miała wrażenie, że zaraz skręci jej kark. Okulary zsunęły jej się z nosa. Poprawiła je, by mu się lepiej przyjrzeć. Potężnie zbudowany, czarnowłosy. Twarz, która niełatwo wyrażała uczucia. Dwie zmarszczki przy brwiach. Opalona skóra świadczyła o tym, że dużo przebywał na powietrzu. Oczy prawie tak ciemne jak włosy. Były jednak tak blisko, że wołała w nie nie patrzeć.

- Pytam ponownie: kim pani jest?

- Dobrze. A kim pan jest? - mruknęła Emma. Próbowwała obudzić się i zapanować nad sytuacją. Było coś w tym człowieku, co jej przeszkadzało.

Nie odpowiedział. Potrząsnął głową z dezaprobatą.

- Ja zapytałem pierwszy.

Emma znowu nic nie odrzekła. Więc powiedział wolno, cedząc słowa, jakby mówił do nierozgarniętego dziecka:

- Tak się złożyło, że jestem tutaj zarządcą. Moje nazwisko Weld. John Weld. Kim może być pani?

- Dlaczego... - poczuła się nagle mała, nieważna i słaba. - Jestem Emma - przedstawiła się.

- Emma? I co dalej? - domagał się odpowiedzi. Słyszała gwałtowność, zawziętość w jego głosie. Patrzył na nią uważnie.

Poczuła, że wargi ma przeraźliwie suche. Zwilżyła je językiem.

- Emma. Emma Ballentine - szepnęła. Mężczyzna wyprostował się i cofnął o krok.

- O, mój Boże. I tak nie dość problemów, to jeszcze zjawia się kolejna Emma Ballentine.

Zerwała się na równe nogi, trzęsąc się w środku bardziej niż gdy wchodziła do tego domu.

- Co to znaczy: kolejna Emma?

- Bardzo proste. Prawnicy przybywają w tym tygodniu. Emma Ballentine dziedziczy pokaźny majątek. Niewiele gotówki, pani rozumie, ale posiadłość warta jest parę milionów. Jest pani drugą kandydatką do tronu. Skąd się pani tutaj znalazła?

Emma zacisnęła dłonie w pięści. Z chęcią by go sprąła na kwaśne jabłko. Szkoda, że był tak potężnie zbudowany. Musi być bardzo silny. Pomyślała, że właściwie mogłaby go kopnąć. Noski jej pantofli były wystarczająco ostre.

Zauważył jej spojrzenie i cofnął się.

- Proszę tego nie robić. Nie chcę mieć goleni posiniaczonych przez drugą pretendentkę do spadku.

W tym momencie drzwi się otworzyły i weszła pani Mac-rae.

- Dobry wieczór, John.

- Dobry wieczór, Edna. Skąd wytrzasnęłaś drugą Emmę Ballentine?

- Spadła dziś do nas z błękitnego nieba - uśmiechnęła się pani Macrae. - Dwie godziny temu to się stało. I wiesz, co ci powiem, John?

- Co, moja droga?

- Ta Emma jest prawdziwa. Pamiętam ją. To moja Emma. Moje kochane maleństwo. Ciemnozielone oczka, marchewkowe włoski, psotna twarzyczka... Tyle lat temu to było, a ona nic się nie zmieniła.

- Nie widziałaś jej wiele lat. Zastanów się. Pamięć często płata figle.

- Wiem. Ona miała wtedy cztery latka.

- Prawnik będzie miał więcej roboty. Dużo więcej. A tymczasem...

- Tymczasem umieszczę ją w pokoju obok tej dziewczyny.

- Tej dziewczyny - powtórzył John. - Nie darzysz zaufaniem mojego brata.

- Wiesz, że nie ufam ani jej, ani jemu. Emma miała rude włosy, szmaragdowe oczy, piegi na nosku i stosowny do tego charakter. A tamta... szkoda słów. Tamta jest ciemną blondynką, jasnozielone oczy. Włosy można przefarbować, ale nie zmienia się tak łatwo kolom oczu. Uwierz mi, John.

- Niestety, miałem wtedy kilkanaście lat i mało mnie obchodziły czteroletnie dziewczynki. Zupełnie jej nie pamiętam - stwierdził John. - Sądzę, że powinniśmy zostawić tę sprawę prawnikom.

Popatrzył na Emmę.

- Wygląda na bardzo zmęczoną. Dlaczego nie zaprowadzisz jej na górę? Pościel jej łóżko. Spotkamy się wszyscy na kolacji, prawda?

- Masz rację - przytaknęła gospodyni. - Chodź, Emmo. Pokażę ci twój pokój. Będziesz mogła umyć się i odpocząć. Chodź, kochanie, kolacja o siódmej...

Emma skwapliwie chwyciła wyciągniętą ku niej dłoń gospodyni. W imię komfortu i żeby ochronić się przed tym

szorstkim w obejściu mężczyzną. Pospieszyła do drzwi, mając nadzieję, że on nie pójdzie za nimi.

- Nie obawiaj się - mruknęła pani Macrae. - On dużo gada, ale nikomu nie robi krzywdy. Kolacja będzie o siódmej. Nie musisz ubierać się elegancko.

Podążyła za gospodynią na pięterko. Wyznaczony dla niej pokój znajdował się w głównej części domu. Widoczne było, że dekorator wewnątrz wykonał tu kiedyś dobrą robotę. Pokój urządzony był na zielono - zielony, puchaty dywan, ciemnozielone, ciężkie zasłony i ściany do połowy swej wysokości pokryte jasnozieloną farbą. Łóżko nie bardzo tutaj pasowało. Starodawne, aż tak ogromne, że zmieściłyby się w nim naraz cztery osoby. Albo pięć, pomyślała, kładąc się na pościel w ubraniu.

Była okropnie zmęczona. Spojrzała na zegarek. Piąta. Miała zatem dwie godziny na wypoczynek, na pobieranie myśli i...

Nagle zwróciły jej uwagę jeszcze jakieś drzwi. Przezorność zwyciężyła zmęczenie. Emma wstała, podeszła do tajemniczych drzwi i nacisnęła klamkę. To była łazienka. Prawie tak duża jak pokój, z wielką wanną, z prysznicem...

- Prysznic! - ucieszyła się.

Jej rzeczy już przedtem Hilda wniosła na górę. Rozpakowanie ich nie zajęło wiele czasu.

Co włożyć na kolację? Nie miała pojęcia, kto będzie uczestniczył w posiłku. Z pewnością jednak znajdzie się w tym momencie pod obstrzałem ciekawskich spojrzeń.

Wybrała niebieską sukienkę, przylegającą do ciała, podkreślającą jej kształty. Kupiła ją prawie rok temu, ale nie trafiła się okazja, żeby w niej wystąpić. Zresztą komu miałyby się podobać? Niewielu znała mężczyzn poniżej sześćdziesiątki.

Ale... John Weld? Nie zabiegał wprawdzie o jej względy. Z drugiej strony jednak jego widok rozbudził w niej dawne, dziewczęce marzenia o ślubie w białej sukni z welonem, o domu pełnym dzieci.

Powiesiła sukienkę na drzwiach łazienki. Odkręciła prysznic.

To było dziwne uczucie. Jej serce śpiewało pieśń radości. Wiedziała więcej o sobie niż kiedykolwiek przedtem. Pani Macrae okazała się fantastycznym źródłem informacji i zrozumienia.

Zatem pochodziła z Balleymore. Ludzie stąd znali ją. Okręciła się kilka razy z radości, wesołe piruety na środku wielkiej łazienki. I potem usłyszała jakiś ochryply wrzask.

Stanąła, nasłuchując. Głos dochodził z północnego skrzydła domu. Narzuciła szlafrok i ostrożnie wyjrzała z pokoju. Wyszła, skręciła w prawo i wkrótce zatrzymała się przed masywnymi drzwiami. Północne skrzydło domu okazało się zamknięte. Kto tak okropnie krzyczał? Przyłożyła ucho do drzwi. Było już cicho.

- Emmo Ballentine - skarciła sama siebie. - Czy nie możesz zająć się swoimi sprawami?

John siedział przy biurku i przeglądał jakieś papiery. Przed dom podjechał biały, sportowy samochód. Wsiadł z niego Lukę, młodszy brat Johna. Jasny garnitur, starannie wyczyszczone paznokcie, z pewnością nie wyglądał na farmera. Miał około trzydziestki i było jasne, że Lukę musi znaleźć sobie inne zajęcie, stanowczo nie miał serca do pracy w polu.

- Dzień dobry, braciszku, mam taki drobny kłopot...

- Pewnie znowu chodzi o pieniądze - domyślił się John. - Przecież niedawno dostałeś pensję. Ile potrzebujesz?

- Około pięciuset. Nie odmawiaj, braciszku. Wiesz, że niedługo oddam ci wszystkie długi.

- Kiedy?

- Przecież wiesz. Jill dostanie spadek i wtedy oddają długi-

- Sądzę, że o tym powinniśmy porozmawiać.

- O co chodzi? - zaniepokoił się Luke.

- Na scenie pojawiła się druga Emma Ballentine - powiedział spokojnie John.

- O, Boże!

- Spadła z błękitnego nieba jakieś dwie godziny temu. Wraz z kompletem niezbędnych dokumentów. Z posiadanego przez nią aktu zgonu wynika, że Edward Ballentine zmarł trzy miesiące temu w Nowym Jorku.

- Druga pretendentka do spadku - jęknął Luke. - Chyba nie zamierzasz się w to angażować - dodał po chwili milczenia.

- Co... robić? - zdziwił się John.

- Właśnie. Jeżeli przybyła do nas ładna buzia z odpowiednimi dokumentami...

- Owszem, ma ładną buzię. Słuchaj, spotkamy się wszyscy na kolacji. A teraz mi nie przeszkadzaj. Mam dziś mnóstwo roboty.

Opuścił wzrok na papiery, trudno mu jednak było skoncentrować się na pracy. Ładna buzia? Faktycznie była urocza. Błyszczące, zielone oczy, puszyste, gęste rude włosy... i odpowiedni do tego charakter.

John czuł nienawiść do całego rodu Ballentine. Był jednak prawym człowiekiem i sumiennie wywiązywał się z obowiązku zarządzania farmą. Uważał za swój obowiązek pomoc w ustaleniu praw do spadku, w dopilnowaniu, by i tym razem zwyciężyła sprawiedliwość.

ROZDZIAŁ DRUGI

Emma schodziła na dół za Hildą. Gdy poprzednio szła na górę, nie zastanawiała się nad tym. Była zbyt zmęczona. Teraz z ciekawością przyglądała się wąskim kamiennym schodom i prześwitującym przez masywne ściany małym, podłużnym okienkom. Ten dom miał być fortecą chroniącą przed atakiem Francuzów, Indian czy też Brytyjczyków. To miejsce wyglądało, jakby czas się tutaj zatrzymał.

Myślała o tamtych czasach, o ludziach, którzy żyli i pracowali w tym północnym kraju. Zastanawiała się również nad swoją niebieską sukienką. Przecież jeszcze nie wiedziała, kim jest, nie znała swojej pozycji wśród tych ludzi. Powinna była włożyć coś skromniejszego. Ale gdy szykowała torbę podróżną, trudno jej było zsunąć się ze swojego obłoku marzeń, i ubrania, które naszykowała, wyrażały pewność siebie i radość. Tymczasem było jeszcze na to zbyt wcześnie. Sukienka zgrabnie opinała jej ciało, uwydatniała kształt bioder i piersi. Pomyślała, że zależy jej na opinii Johna.

Masywne, podwójne drzwi były otwarte na oścież. Emma podążyła za Hildą do jadalni, która okazała się naprawdę olbrzymią. Mahoniowy stół na dwadzieścia osób, jakieś meble stojące w rogu, masywny, bogato zdobiony kominek - wszystko to mieściło się tutaj zupełnie swobodnie. Wielkie okna o jasnych, butelkowych szybach poróżowiały blaskiem zachodzącego słońca. Świecznik na dwadzieścia cztery świece przerobiony na elektryczny żyrandol. Trzy osoby siedzące w tym pokoju zdały się małe jak krasnoludki z bajki.

John na jej widok podszedł do drzwi i wyciągnął do niej obie ręce w serdecznym powitaniu. Nie wiedziała jeszcze, kim jest i jak powinna się zachowywać. John był wysoki. Ona też nie najmniejsza i rzadko musiała podnosić oczy, by spojrzeć w twarz mężczyźnie. On był przystojny, ale jakby zniszczony albo po prostu nie miał delikatnych rysów. Bruzdy wzdłuż brwi,

podłużne zmarszczki na policzkach. Twarz świadczyła o tym, że przepracowywał się przez całe życie.

Ciemne oczy jak dwa motyle na opalonej twarzy. Pomyślała, że pasują do jej sukienki. Tak jak przypuszczała, John był mężczyzną, którego kobiety powinny się wystrzegać. Dreszcz ją przeszedł wzdłuż kręgosłupa. Próbowwała to zwalczyć.

Coś mówił do kogoś. Udzielał jakichś głośnych wskazówek, wydawał polecenia silnym, donośnym głosem.

Czekała, co teraz nastąpi.

Uśmiechnął się.

- Bardzo dobrze wyglądasz - powiedział do niej.

Ani słowa o zbyt obcisłej sukience. Posłała mu w myśli podziękowanie i poczuła, że mięśnie jej palców przestały być napięte. Jego spojrzenie wystarczyło, by dać sercu nadzieję.

- Chodź i poznaj innych... Mój brat, Luke.

Emma przystanęła zaskoczona. To ma być jego brat? Nie był tak wysoki, ale idealnie proporcjonalny. John miał ciepłe, ciemnobrazowe oczy. Luke szare, zimne. John miał czarne włosy, Luke jasne jak łany zbóż. John nawet gdy się uczesał był potargany, u Luke'a każdy włos znajdował się dokładnie we właściwym miejscu. John wyglądał jak człowiek, który żyje. Luke jak ten, który umie życie rozegrać na swoją korzyść. Może jedynie kształt ust mógł świadczyć o ich pokrewieństwie, ale Emma nie była pewna.

- Luke - rzekł John. - To jest Emma Elizabeth. Wyciągnęła rękę do przystojnego blondyna, ale on ani drgnął.

Ręka Emmy kłopotliwie zawisała w próżni. Jego dłonie wydały się przyklejone do tułowia. Nie wiedziała, jak często dolewano do szklanek, ale Luke na pewno śmierdział alkoholem.

Spokojnie, powiedziała sobie, żadnych pochopnych sądów. Musiał być zdenerwowany jej przyjazdem. To oczywiste.

Cofnęła rękę i skinęła mu głową. Z wyrazem zrozumienia na twarzy.

- A to jest... - John wskazał na stojącą u boku Luke'a dziewczynę. - To jest Luke'a narzeczona. Również na imię ma Emma. Emma Jill. Woli jednak, by ją nazywać drugim imieniem.

- Miło mi cię poznać - powiedziała Emma i znowu wyciągnęła rękę. Wysoka bardzo zgrabna blondynka, o jasnozielonych oczach. Ubrana w błyszczącą, zieloną sukienkę. Czy nieprzyjemni ludzie zawsze są tacy urodziwi? - pomyślała Emma.

- Mnie również miło cię poznać - odrzekła Jill, podając rękę.

Emma odetchnęła z ulgą. Jill mówiła z silnym prowincjonalnym akcentem, a dłoń, którą podała, miała konsystencję mokrej ryby.

- Jill to bardzo ładne imię - zauważyła Emma.

- Wiesz... mój ojciec nie mógł mieszkać ze mną... Jego praca... rozumiesz... - zaczęła tłumaczyć Jill.

Emma skinęła głową. Doskonale rozumiała te rzeczy.

- On płacił jednym państwu, żeby mnie wychowywali. Odwiedzał mnie raz w miesiącu, jeśli tylko pozwalała mu na to jego praca. Moi przybrani rodzice nie lubili imienia Emma i nazywali mnie Jill.

Ją także los ciężko doświadczył. I teraz każda z nas ma szansę okazać się prawdziwą Emmą, pomyślała Emma Elizabeth.

Rozmyślanie przerwało jej wejście jeszcze jednej osoby. Emma spojrzała na nią ze zdziwieniem. To była starsza kobieta ubrana w fartuch i czepek pielęgniarki.

- Harrieta Snow - przedstawiła się, ściskając rękę Emmy z taką siłą, że dziewczyna z trudem powstrzymała okrzyk bólu.

Jill zdążyła już wcześniej poznać zwyczajnie starszej kobiety i tylko skinęła głową.

- Teraz jesteśmy już wszyscy - oznajmił John. - Siadajmy do stołu.

Zajęli miejsca. Weszła pani Macrae, pchając stolik na kółkach, na którym stały pachnące i dymiące półmiski oraz zastawa stołowa.

- Pyszny domowy obiadek - gospodyni uśmiechnęła się do Emmy i zaczęła ustawiać talerze.

- To, co lubię najbardziej - ucieszył się John. Jill skrzywiła się.

- To musi być okropnie tuczące.

- Nie dla wszystkich - odparła z godnością pani Macrae, po czym, tłumiąc chichot, wyszła z pokoju.

Obiad upłynął szybko. John prowadził rozmowę. Miło, ale trochę despotycznie. Jak nauczyciel w szkole, który prowadzi lekcję.

- Najpierw podam kilka szczegółów dotyczących Jill. Czy uwierzysz - zwrócił się do Emmy - że ona przez całe życie mieszkała zaledwie sześć mil stąd? Na dole w Merrimac. Można powiedzieć, że przez cały czas byliśmy sąsiadami, a przecież nie znaliśmy się zupełnie. Nie do uwierzenia.

- Tak, zgadza się. - Głos Luke'a był bełkotliwy, to jednak wpływ alkoholu. Nawet pijany był przystojny. - Miałem szczęście, że znalazłem ten artykuł w naszej gazecie - wybełkotał.

Znowu zapadła cisza.

- Możliwe, że miałeś szczęście - stwierdził John. - A teraz przyjechała tu Emma. Jeszcze jedna niespodzianka. Emma przywiozła ze sobą odpowiednie papiery.

- Już coś mi o tym mówiłeś. Co chcesz z tym zrobić? - zdenerwował się Luke.

- Emma ma dokumenty dotyczące jej samej i jej rodziny. Muszę posłać je w komplecie do prawnika, żeby dołączył je do akt - wyjaśnił John. - Jeszcze wrócimy do tej sprawy.

Następnie John zwrócił się do Harriety.

- Jak się czuje nasza pacjentka? Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

- Żadnej poprawy nie było już od dawna. Dziś jednak wygląda szczególnie niedobrze. Wydaje się, jakby czuła, że coś się dzieje w domu i to doprowadzają do szaleństwa. Obawiam się, że trzeba będzie stosować silniejsze leki.

- Doktor Owens powinien już wkrótce powrócić.

- Powinien już być - przytaknęła pielęgniarka. - Czasami wydaje mi się, że jego podróż ciągnie się w nieskończoność.

- Może Jill mogłaby coś tutaj pomóc - zastanawiał się John. - Ona przecież polubiła Jill.

- Nie, ja nie mogę pomóc - jęknęła dziewczyna. - To przypomina mi śmierć mojego ojca. I wczoraj, kiedy byliśmy u niej z Lukiem, była dla mnie taka miła, jakbym nadal była tą małą dziewczynką, którą znała. Okropnie boję się śmierci.

- To prawda - zgodziła się pielęgniarka. - Ona przecież traktuje wszystkich gości z taką obojętnością, jakby ich nie było, a dla Jill była miła.

Siostra pochyliła się poprzez stół do Jill.

- Byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś opowiedziała nam o swoim ojcu, dziecko. Zrzucić ciężar z serca. To będzie bolesne, potem jednak odczujesz ulgę.

- Ona jest miła dla Jill, bo poznaje, że to jej córka - przerwał Luke. Chciał jeszcze coś dodać, ale zamilkł pod groźnym spojrzeniem brata.

- Mój ojciec był wspaniałym człowiekiem - powiedziała Jill. - Ludzie szanowali go i podziwiali. Którejś niedzieli przyjechał do mnie i zabrał mnie na wycieczkę. Płynęliśmy łodzią. Obok nas, na drugiej łódce, było dwóch chłopaków. Strasznie się wygłupiali. Młodszy wpadł do wody i mój ojciec skoczył mu na pomoc. I gdy chłopcu już nic nie zagrażało, wielkie drzewo płynące z prądem rzeki uderzyło ojca w głowę. Umarł i już nigdy go nie widziałam... - urwała z oczyma pełnymi łez.

Luke urwał z rolki papierowy ręczniczek i podał Jill, ponieważ nie miał pod ręką chusteczki.

- Ojciec niewiele opowiadał o naszej rodzinie - kończyła Jill. - Było dla mnie szokiem, gdy spotkałam Luke'a. .. Bardzo brakuje mi mojego ojca. Był prawdziwym bohaterem.

- Z pewnością tak - potwierdził John.

Najlepsza aktorka, jaką kiedykolwiek widziałam, pomyślała Emma. Mogło jednak zdarzyć się coś takiego. Może to ja jestem tą fałszywą Emmą. Przecież tak samo jak ona nic o sobie nie wiem. Ja też nigdy przedtem nie słyszałam o Bal-leymore. Dopóki nie dostałam listu od ojca.

- Kiedy to się stało? - zapytał łagodnie John.

- Sześć lat temu. Musiałam ubierać się na czarno. Nienawidzę czarnego koloru. I nie mam zamiaru...

Jill rozplakała się.

- Nie martw się - zapewnił ją John. - Nigdy więcej nikt ci nie każe ubierać się na czarno.

Jill oparła głowę na ramieniu Luke'a i uśmiechnęła się przez łzy.

To wygląda tak, jakby ubieranie się na czarno było najstraszniejszą rzeczą po stracie bliskiej osoby, pomyślała Emma. Ale potem doszła do wniosku, że to nieuprzejmie z jej strony tak myśleć i posłała Jill spojrzenie pełne współczucia.

- A co z twoim ojcem? - John spojrzał pytająco na Emmę. Patrzyli na nią z takim zaciekawieniem, że poczuła się

zakłopotana. Pomyślała, że zawód pisarki ma wiele zalet, między innymi i taką, że zakłopotaniem i w ogóle wszystkimi problemami można obdarzyć wiele fikcyjnych istot, i potem już można się śmiać. Niech one się martwią. Ale to można będzie zrobić później. Teraz trzeba stawić czoło rzeczywistości.

- Emma? - przynaglił ją John.

Wyglądało na to, że on chce, żeby czuła się zakłopotana. Cholerny facet!

- Emma?

- Ja... nie wiem wiele o moim ojcu - mruknęła.

- Opowiedz nam wszystko, co wiesz.

Był to raczej rozkaz niż prośba. Spojrzała na niego, zastanawiając się, czy wyczuwa, jak bardzo jest na niego zła.

- Musieliśmy się rozstać, gdy miałam pięć lat - powiedziała z wahaniem. - To trochę podobne do tego, co przeżyła Jill. Ojciec nie mógł mnie utrzymywać. Oddał mnie do domu dziecka. Nie mógł być ze mną. Zaliczyłam kilka domów dziecka i kilka rodzin zastępczych. Na szczęście, gdy poszłam do szkoły średniej, trafiłam na wspaniałego nauczyciela angielskiego, który pomógł mi w moich pierwszych próbach pisarskich. Moją pierwszą książkę wydano parę tygodni po tym, jak ukończyłam szkołę. Ojca widziałam tylko raz od czasu, jak mnie oddał do domu dziecka. Przeszedł do mojej szkoły na uroczystość rozdania dyplomów. Nie rozmawialiśmy, nie podszedł do mnie wtedy, widziałam go tylko z daleka. Kiedyś przysłał mi list. Myślę, że znajdował się pod wpływem alkoholu, gdy go pisał. To było bardzo chaotyczne. Pisał, że on i matka nigdy nie powinni byli brać ślubu, że to żadnemu z nich nie wyszło na dobre. Kilkakrotnie powtarzał, że jest mu przykro. I twierdził, że teraz nie ma dla mnie czasu, bo jest zajęty zdobywaniem sławy, a jak już będzie sławny, to do mnie przyjdzie. Jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że malarze rzadko już za życia zdobywają sławę. Wiedziałałam, że nigdy nie przyjdzie...

- Czy zostawił ci jakiś spadek? - zainteresował się Luke.

- Nie, nic mi nie zostawił. Przystojna twarz wyrażała powątpiewanie.

Nie bardzo wiedziała, co go to obchodzi. Postanowiła jednakże być szczerą.

- Niewielkie długi, które zapłaciłam za mego i mocno zużyte ubrania. Część wyrzuciłam, resztę oddałam do kościoła, do skrzyni dla ubogich. Ale zostawił mi również swoje obrazy. Malarstwo surrealistyczne. To było straszne, jakby malował, stojąc u wrót piekła. Szczególnie mnie wydawały się okropne. Lubię tradycyjną sztukę, obrazy, które łatwo poznać, czym są dziełem.

- I co? Zatrzymałaś sobie na pamiątkę te obrazy, czy może próbowałaś sprzedać? - zapytał John.

- Pomógł mi w tym przypadek. Niedługo potem, jak dostałam te obrazy, spotkałam kolegę, który jest właścicielem prywatnej galerii. Powiedział, że może wziąć je ode mnie w komis i spróbować sprzedać. I dwa tygodnie później zadzwonił do mnie, że sprzedał jeden z obrazów za dwanaście tysięcy dolarów i zaraz potem, że następny sprzedał za pięćdziesiąt. Twierdzi, że już niedługo osiągną one na rynku wartość siedemdziesięciu tysięcy dolarów. Zrobił do tego dobrą kampanię reklamową, bazując na fakcie, że artysta nie żyje. Śmierć bardzo pomaga artyście w zdobyciu sławy. Jill spojrzała z absolutnym zaskoczeniem.

- Dostałaś pięćdziesiąt tysięcy dolarów za jeden obraz? I myślisz, że te inne będą droższe? Ile było tych obrazów?

- Coś około dwudziestu. To niedużo jak na dorobek całego życia - Emma uśmiechnęła się ze smutnym zamyśleniem.

- Wszystkie oddałaś do galerii? - wypytywał John, jakby był ciekaw, czy nie chciała zostawić tych obrazów sobie na pamiątkę, i w ogóle, jakie były jej uczucia względem zmarłego artysty.

- Jeden zatrzymałam dla siebie. Mniejszy od innych. Przedstawiał małą dziewczynkę bawiącą się z psem. Zupełnie inny od reszty obrazów. Wyobrażałam sobie, że ojciec myślał o mnie, gdy to malował i zdecydowałam się nie oddawać tego obrazu.

Zapadła cisza. Wyglądali na zaskoczonych. Emma lekko wzruszyła ramionami. Pomyślała sobie, że może lepiej od niej znają się na malarstwie. Chociaż usta Jill sprawiały wrażenie, jakby dziewczyna próbowała pomnożyć siedemdziesiąt tysięcy przez dwadzieścia i nie bardzo mogła sobie z tym poradzić. Mruczała półgłosem jakieś liczby. Nikt już o nic nie zapytał. Zajęto się jedzeniem.

Z zachwytem pałaszowali przysmaki, z wyjątkiem Jill, która obawiała się utyć. Ale w końcu i Jill nie wytrzymała i opróżniła talerz do czysta.

Kolacja trwała dość długo. Emma pomyślała, że w domu dziecka ani w rodzinach zastępczych nigdy tak dobrze nie jedzono.

- Pójdę już do niej na górę - powiedziała pielęgniarka. - Ona nie może być sama tak długo.

Emma spojrzała pytająco na Johna.

- Kto to jest? Kto jest na górze?

John obejrzał się na swego brata i Jill. Siedzieli przytuleni i coś tam szepotali do siebie. Nie zwrócili uwagi na jej pytanie.

- Może chciałabyś obejrzeć ogród - zaproponował. - Powiem ci wszystko, co wiem.

- Tak, bardzo chętnie.

Wstał i pomógł jej odsunąć krzesło. Czytała kiedyś o tak dobrych manierach, ale nigdy jeszcze się z tym nie spotkała. To było miłe.

Teraz wiem, pomyślała, co to znaczy być traktowaną jak dama.

Wyszli do ogrodu. Z przyjemnością wciągnęła do płuc świeże, chłodne powietrze.

W tym momencie usłyszała szczekanie psów. Te same dobermany, które zaatakowały ją, gdy szukała drzwi, żeby wejść do budynku.

- Ratunku! - krzyknęła i schowała się za Johna. John zaczął się śmiać.

- Mnie na pewno nie tkną - powiedział. - Ciebie jeszcze nie znają.

Zatrzymali się. Psy siadły przy stopach Johna. Ziały, wysuwając wielkie, różowe jęzory.

- Powiedz im, żeby sobie poszły - poprosiła.

- Idźcie sobie - powiedział John do psów. Nie zareagowały.

- Żartujesz sobie ze mnie.

- Nie ma czego, się bać. Przeszły staranną tresurę. Nie gryzą. Chociaż... dobrze, zabiorę je. Parę lat temu pogryzły mojego brata.

- Pewnie zasłużył na to.

John popatrzył uważnie jej w oczy. . - Nie lubisz mojego brata?

- Nie przepadam za nim, muszę przyznać. Był nieprzyjemny i wydaje mi się, że darzy mnie podobnym uczuciem.

- Spójrz na psy - zmienił temat.

Skinęła na nie lekko zakrzywionym palcem. Psy położyły się na trawie i patrzyły wyczekująco, co dalej im pan rozkaże.

- Pozwól, żeby powąchały twoje ręce...

Psy wkrótce oswoiły się z jej obecnością, a ona z nimi.

- Miałeś mi powiedzieć... - przypomniała.

- Już zaraz, poczekaj.

Doszli do olbrzymiego dębu rosnącego przy północnym skrzydle domu. Psy podążyły za nimi.

- Spokojnie, dziewczyno.

Skinęła głową i uśmiechnęła się do niego. Siadła na brzegu ławki, która była tak wysoka, że nogi Emmy ledwie sięgały ziemi.

- W porządku, powiedz mi.

- Nie bardzo wiem, jak ci to powiedzieć. Mamy chorą kobietę zamkniętą na klucz w pokoju. Może źle się wyraziłem, może chora ma nas. Prawdopodobnie chora jest właścicielką Balleymore i z tego wynikałoby, że ja, pani Macrae i Hilda jesteśmy jej służbą. A może nie jest właścicielką. Z tym pytaniem będę musiał zwrócić się do prawnika. Ciekawe, prawda?

- Dobrze, a kto to jest? - przynagliła go Emma.

- Jeżeli jesteś prawdziwą Emmą Ballentine, ta wiadomość może być dla ciebie szokiem. Ta kobieta w zamkniętym skrzydle domu jest twoją matką.

Emma poczuła się, jakby ktoś uderzył ją w twarz bryłą lodu.

- Moją matką? - zapytała, zaczerpnąwszy głęboko powietrza. - To niemożliwe. Moja matka nie żyje. - Gardło miała tak ściśnięte, że słowa wydobywały się z trudem. Odchrząknęła. - Nie wiem, dlaczego tak powiedziałam - szepnęła. - Ktoś mi powiedział, może tylko tak mi się wydawało, że coś takiego słyszałam. Nie wiem. Pamiętam tylko ojca.

- Proszę, nie płacz - powiedział John. Nawet użył słowa proszę.

- Mogę płakać, kiedy tylko zechcę - odparła i próbowała znaleźć małą, koronkową chusteczkę, którą miała w kieszeni. Ale trudno jej było trafić rozdygotaną ręką do kieszeni.

- Do licha - mruknął pod nosem. - Nie cierpię płaczących kobiet.

Podał jej swoją chustkę - dużą, męską.

- Co mówiłaś?

- Kiedy?

- Zaczęłaś mówić i nie skończyłaś.

Emmie udało się wreszcie zapanować nad sobą. W końcu trudne sytuacje zdarzały jej się dość często i nauczyła się jakoś sobie radzić.

- Niewiele pamiętam. Jedyne mgliste wspomnienie to ich kłótnie. Podniesione głosy. Krzyki. Ktoś czymś rzucał. Dźwięk tłuczonego szkła. Chciałabym mieć lepsze wspomnienia o ojcu, jak Jill. Odprowadził mnie do domu dziecka. To ostatni raz, gdy coś do mnie mówił. Przytulił mnie, powiedział, żebym była dobrą dziewczynką i pocałował mnie.

- Ciężko było o tym opowiadać, wspomnienia sprawiały ból.

- On przyszedł do mnie do szkoły w dniu rozdania dyplomów. Już o tym mówiłam. Nie rozmawialiśmy wtedy. Stał w drugim końcu sali przy drzwiach. Patrzył na mnie, przeszywał mnie swoim spojrzeniem, dlatego go zauważyłam. Był w jakimś wyświechtanym ubraniu, zaniedbany. Poznałam go jednak.

- I wtedy ostatni raz go widziałaś?

- Tak, właśnie wtedy... - przerwała, wracając znowu wspomnieniami do tamtego dnia. - Wiesz, zawsze uważałam, że moja matka nie żyje. Nawet nigdy nie marzyłam o niej. Nie mogłam wyobrazić sobie jej twarzy. Nie pamiętam, jak wyglądała. Trudno mi uwierzyć, że moja matka może być tutaj.

Emma zaczynała robić się zła. Dlaczego tyle lat cierpiała, sądząc, że uczyniła coś bardzo złego, coś, co sprawiło, że własna matka ją odrzuciła?

- Jaka ona jest? Gdzie ona była, kiedy potrzebowałam jej najbardziej? Co zrobiłam, że przestała mnie kochać? - Potem Emma nie słyszała już swoich słów, tylko płacz, żalosne łkanie. To ją zaskoczyło. Miała silny charakter. Trudne dzieciństwo nauczyło ją nie ulegać słabości.

Uspokój się, upominała się w myśli. Nie ma mowy, żebym tak się wyglupiała, żeby płakać przy tym mężczyźnie. Przeszłość minęła i nie wróci. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr, powtórzyła sobie stare przysłowie. Muszę się natychmiast uspokoić.

- Nie mogę w tej chwili odpowiedzieć. Chodź na górę, zobaczysz ją.

- Teraz? - spytała Emma z wahaniem.

- Dlaczego nie teraz? - zdziwił się John. - Czy kiedyś będzie na to dogodniejsza pora?

Emma lekko wzruszyła ramionami.

- Czy ona jest chora?

- Ma odmę, płuca w bardzo złym stanie. Od palenia papierosów, kilku paczek dziennie. I wątrobę zniszczoną alkoholem.

Wziął ją za rękę i poprowadził na górę, ku tajemniczemu zamkniętym drzwiom. On ma taki zwyczaj, że prowadzi mnie jak holownik ciężką barkę na rzece, pomyślała. Ale to było przyjemne i nie zamierzała protestować.

- Odma? Myślę, że to daje się wyleczyć.

Doszli do zamkniętych drzwi. Emma spojrzała na Johna. To było widoczne jak na dłoni, on nienawidził kobiety znajdującej się za zamkniętymi drzwiami.

Zobaczę kogoś, kto może jest moją matką, pomyślała Emma. A może on mnie też nienawidzi?

John otworzył drzwi i coś powiedział do pielęgniarki.

- Mamy gości, pani Ballentine - usłyszała po chwili głos Harriety. - Proszę zobaczyć, kogo my tu mamy.

John szepnął do pielęgniarki:

- Czy nie sprawiamy kłopotu?

- Ona jest taka zdenerwowana, ponieważ przed chwilą była u niej Jill - wyjaśniła pielęgniarka. - Nie wiem, o czym mówiły, gdyż obie kazały mi opuścić pokój. Nie lubię się wtrącać, ale wydaje mi się, że Jill nie nastawiła jej przychylnie do tej wizyty. Cóż, zobaczymy, jak będzie.

Emma przeszła przez pokój pielęgniarki, wchodząc do pokoju chorej.

- Dzień dobry - powiedziała.

Kobieta siedząca przy stoliku obróciła się gwałtownie w jej stronę.

- Nie znam cię! - wrzasnęła ochryłym głosem. Paniczny strach pojawił się w jej oczach. - Ty nie jesteś Jill! Wynoś się! Wynoś się z mojego pokoju! Nie chcę cię widzieć! Ja cię nie znam!

Czy ktoś chory na płuca może krzyżeć aż tak głośno? - pomyślała Emma.

ROZDZIAŁ TRZECI

Emma była zmieszana, zbita z tropu. Dlaczego ta kobieta tak bardzo się jej przestraszyła?

- Ty nie jesteś Jill! - krzyczała pani Ballentine. - Wynoś się stąd! Nie chcę cię widzieć w moim pokoju!

Zajrzała do nich siostra Harrieta zaniepokojona krzykami. Emma próbowała wycofać się. Zaraz za pielęgniarką wszedł John. Wziął Emmę za rękę i szybko wyprowadził z rejonu zagrożenia. Pani Ballentine ciskała za nią różnymi przedmiotami. Niestety, chora nie zachowywała się jak człowiek normalny. Chwyciła ze stolika szklankę z wodą, pozostawioną tam nieopatrnie przez Harrietę, i rzuciła szklanką za Emmą. Dziewczyna uchyliła się, a szklanka głośno uderzyła o ścianę i rozprysła się w drobny mak. Emma drgnęła gwałtownie, słysząc ten dźwięk. Starła się nie reagować na histeryczny wrzask chorej, ale tego dźwięku nie wytrzymała. W tym czasie Johnowi udało się wyprowadzić ją z pokoju. Emma drżała tak bardzo, że można było słyszeć szczęknięcie jej zębów.

Odgłosy szamotaniny dochodzące z zamkniętego pokoju powoli cichły.

- Przepraszam. Nie spodziewałem się czegoś takiego
- powiedział miękko John i opiekuńczo objął ją ramieniem.
- Co się stało, zanim przyszedłem?

- Ona spodziewała się wizyty Jill - powiedziała Emma, starając się powstrzymać szczęknięcie zębów. - Ale gdy zobaczyła, że nie jestem Jill, zaczęła wrzeszczeć. Chciała, żebym wyszła z jej pokoju. Przykro mi, ale jeżeli to moja matka... Dlaczego ona się mnie boi? - drżenie powoli ustępowało. Tak ciepło i bezpiecznie było w jego ramionach. Pragnęła, żeby trwało to dłużej. A może zawsze?

Pomyślała, że powinna napić się kawy i obudzić się ze złych snów. Moja matka nie oczekiwała mnie, myślała. Jeżeli ona jest moją matką, to nie jest możliwe, żebym kiedykolwiek mogła

spodobać się Johnowi. Czy on mógłby mnie polubić? Czy ja pochodzę z tego miejsca? Może po prostu Jill jest jej prawdziwą córką, a ja coś tutaj pomyliłam. Jakieś głupie nieporozumienie.

Bardzo delikatnie wyślizgnęła się z ciepłego kokonu jego ramion.

Emma nie czuła się zakłopotana tym, że ją obejmował.

Wydawało jej się to dziwnie naturalne.

- Dziękuję - powiedziała. - Chciałabym się teraz położyć. To był długi dzień i pełen wrażeń. Czuję się okropnie zmęczona. Czy zobaczymy się jutro?

- Jestem tu prawie codziennie - rzekł John. - Czy trafisz do swojego pokoju?

- Tak, dziękuję. Dobranoc.

- Słuchaj - powiedział nagle John. - Nie bierz sobie tego tak bardzo do serca.

- Czyżby? Moja matka wyparła się mnie. Nie czekała na mnie. Nie chciała mnie widzieć. Trudno nie wziąć sobie tego do serca. Chyba lepiej będzie, jeśli jutro rano stąd wyjadę.

- Możliwe - powiedział, ponownie otoczywszy ją ramieniem.

- Możliwe, że ona nie chce cię widzieć. Ale słyszałem w jej głosie ogromne poczucie winy, strach. Oczywiście chętniej widzi Jill, która nie porusza jej wspomnień.

- Co przez to rozumiesz?

- Nie wiem jeszcze wszystkiego. Ale zastanawiam się nad tym. Utrzymanie twojej matki dużo kosztuje. Robi się wszystko, żeby miała, co jej potrzeba, żeby nikt nie zakłócał jej spokoju.

- Myślisz, że mogłam zburzyć spokój tego jej miłego gniazda?

- Coś w tym rodzaju - rzekł John. - Idź teraz spać i nie myśl o wyjeździe. Musisz przynajmniej poczekać na decyzję prawnika. Zgoda?

- Tak... Zgoda.

- Zatem dobranoc - John leciutko popchnął ją w stronę jej pokoju.

Emma otworzyła drzwi i weszła do pokoju, o którym już trochę zaczynała myśleć jak o swoim własnym. Polubiła to miejsce. Dekoratorzy wewnątrz znali swój fach. Kontrastujące odcienie zieleni dawały wrażenie wygody i spokoju. To było jej potrzebne po tym ciężkim dniu. Rozejrzała się za swoją koszulą nocną i szlafrokiem. Gdybym była lepiej zorganizowana, pomyślała przeszukując szafki, już teraz wiedziałabym wszystko o sobie.

Nagle usłyszała jakiś dźwięk dochodzący ze wspólnej łazienki. To nie było głośne. Emma podeszła do drzwi. Zapukała, a potem otworzyła.

Jill siedziała na brzegu wanny, płacząc.

- Czy mogę pomóc? - spytała Emma. - Czy coś się stało?

- Nie. Nikt nie może mi pomóc - odparła Jill ciągle płacząc.

- Wypłacz to, będzie ci lżej - Emma usiadła obok niej na brzegu wanny.

- On nienawidzi mnie - szepnęła Jill. - On myśli, że jestem głupia.

- Kto? - zapytała Emma.

Wezbrała w niej złość. Wiedziała, że osoby, którym wystarczająco często powtarza się, że są głupie i bezwartościowe, po pewnym czasie zaczynają w to wierzyć. Godzą się z tym faktem. Dorastając w domu dziecka, bardzo dobrze mogła się przekonać, że niektórzy mają druzgoczącą potrzebę dominowania nad innymi. Czasami używają siły fizycznej, a niekiedy właśnie słów. To było szczególnie złe dla kogoś o słabo rozwiniętej samoświadomości, o niskim poczuciu wartości własnej. Biedna Jill.

- Na pewno nie jesteś głupia - powiedziała Emma łagodnie. - Jesteś inteligentna i urocza. Nie wierz ludziom, którzy mówią ci takie rzeczy.

Jill nie odpowiedziała. Łkanie ucichło. Tylko łzy płynęły spokojnie po policzkach. Oparła głowę na ramieniu Emmy.

Siedziały na brzegu wanny jeszcze prawie godzinę. Jill całkiem się uspokoiła. Była teraz wyczerpana płaczem i tak śpiąca, że Emma musiała pomóc jej w dotarciu do łóżka.

Emma wzięła prysznic i też poszła spać. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była zmęczona.

Emmie było ciepło i wygodnie, ale coś próbowało ją zbudzić. Uniosła głowę. Rozbudzenie się całkowite było zawsze dla niej najtrudniejszą rzeczą na świecie. Potrafiła pracować do późnej nocy, ale poranne wstawanie było dla niej koszmarem. Udało jej się otworzyć jedno oko. Nikogo nie było w pokoju. Nic się nie zmieniło od poprzedniego dnia. Oprócz szerokiej smugi światła wpadającego przez nie zasłonięte okno. Na ścianie rysował się cień gałęzi rosnącego przed domem ogromnego klonu.

- Ktoś próbował mnie obudzić - mruknęła zdegustowana. Wyrzała przez okno. Było już jasno. Gdyby padał deszcz, być może wróciłaby do łóżka. Ale taki piękny wschód słońca? Z jednym okiem ciągle jeszcze zamkniętym szła, opierając się o ścianę, aż znalazła wreszcie łazienkę i prysznic.

Kwadrans później, z już otwartymi oczyma i umysłem niemal sprawnym, ubierała się w ulubione džinsy i różowy sweterek. Wyjęła z torby parę różowych pantofli. Marchewkowe włosy i różowe pantofle! Lubiła to połączenie. Często ubierała się tak w domu, kiedy miała dużo pracy i chciała się czuć całkowicie swobodna. Wczorajszy dzień niewątpliwie zszarpał jej nerwy. Dziś miała nadzieję spotkać Johna. Musiała czuć się swobodnie. Trudno uwierzyć, że John miał brata takiego jak Luke. Ale co ona właściwie wiedziała o rodzinie? Być może tylko wydawało jej się, że bracia powinni być podobni.

Zaścieliła łóżko. Nienawidziła niestarannie ułożonej pościeli. To jeszcze ugruntowały zasady wpojone w nią w domach dziecka.

Wyszła z pokoju i nagle doleciał ją zapach pieczonego chleba i aromat kawy. Poszła za tą wonią jak po nitce i chwilę później była już w kuchni.

- Wcześniej wstałaś - ucieszyła się pani Macrae na jej widok. - To nie jest cecha charakterystyczna rodziny Ballentine. Chodź na śniadanie.

Emma podążyła za nią.

- Nikt tutaj nie przychodzi tak wcześnie. Może czasami John. Dlatego o tej porze piekę chleb, bo jest spokój. Co chciałabyś na śniadanie?

- Nie wiem - odparła. - Ja jeszcze śpię. Nie potrafię od razu wyskoczyć z łóżka. Powoli wślizguję się w dzień.

Emma z desperacją sięgnęła po kubek z kawą.

- W porządku, moja droga. Tym razem ja zdecyduję. Naleśniki z czarnymi jagodami, ze śmietanką i z cukrem. Czy ci to odpowiada?

Emma właśnie kończyła drugi kubek kawy i trzecią porcję naleśników, gdy John wszedł do kuchni. Na szczęście miała pełną buzię i nie musiała od razu odpowiadać na powitanie. On też wyglądał apetycznie. Z pewnością nie był tak smakowity jak naleśniki z jagodami, ale niewiele brakowało.

- Dzień dobry, John - rzekła pani Macrae. - Proszę, to twoja kawa. Czy masz na dzisiaj jakieś plany związane z Emmą?

- O, właśnie - przytaknęła Emma. - Co zaplanowałeś na dzisiaj dla Emmy?

- Powinna zobaczyć Balleymore. Kto wie? Może kiedyś będzie właścicielką tych terenów... Zaraz do was wrócę - przypomniało mu się nagle. - Wyjmę narzędzia z samochodu, żeby Emma miała gdzie siedzieć.

Wyszedł. Pani Macrae stanęła przed Emmą i wyciągnęła z kieszeni fartucha... małą, szmacyaną lalkę. Uszytą z jakiegoś różowego materiału.

- Zobacz, co tutaj mam. Pamiętasz Gertrudę? Prawda? Zrobiłam ją dla ciebie, jak miałaś osiem miesięcy. To była twoja ulubiona lalka, nigdy się z nią nie rozstawałaś. I potem zniknęłaś z ojcem, a lalka została w twoim łóżeczku. Nie wzięłaś jej z sobą.

Starsza pani opowiadała z takim wzruszeniem, że Emma nie potrafiła powiedzieć, że ta lalka nic dla niej nie znaczy. W ogóle nie pamiętała żadnej lalki.

Gospodyni opiekowała się zabawką przez tyle lat, żeby teraz wręczyć jej z dumą.

- O, jest Gertruda - powiedziała. - Dbałaś o nią przez tyle lat.

- To jedyna rzecz, która została mi po tobie. Twoja matka kazała wszystko wyrzucić. Ale Gertie została.

Ciesz się, skacz z radości, pokaż jej, jakie to dla ciebie ważne, tłumaczyła sobie Emma w myśli. Spuściła głowę.

John wybawił ją z opresji, wchodząc do pokoju.

- Samochód gotowy - oznajmił. - Dobrze, że jesteś odpowiednio ubrana. Bałem się, że włożysz pantofle na wysokich obcasach i białą sukienkę.

- Pewnie powinnam teraz się obrazić - powiedziała Emma ze śmiechem. - Ale gdy się zjadło najpyszniejsze na świecie naleśniki z jagodami, gdy się wypilo dwa kubki mocnej kawy, wszystkie zniewagi można puścić mimo uszu. Niewiele rzeczy mogłoby mnie w tej chwili zdenerwować. Zatem prowadź, generale Ballentine!

- Jestem farmerem, pomyliłaś mnie chyba z jakąś postacią historyczną - John podał jej rękę.

Sfatygowany dżip, o bliżej nieokreślonym wieku, niewątpliwie jednak posiadający cztery koła i silnik, czekał przed domem.

- Tylko nie wybrzydzaj na samochód - ostrzegł John. - Najlepszy wóz terenowy w okolicy i mój dobry przyjaciel.

- Jestem odważna i niczego się nie boję. Dokąd pojedziemy najpierw?

John włączył silnik i skierował samochód na prowadzącą w dół drogę gruntową.

- Myślę, że mogłyby ci się podobać pola leżące na wschód, najbardziej odległe od twojego domu, za to położone blisko miejsca, w którym mieszkam. Zleciłem szereg prac na tym

terenie i muszę skontrolować wykonanie. Zobacz, cała ta ziemia należy do Balleymore. Jeżeli jesteś prawdziwą Emmą Ballentine, pewnego dnia to wszystko może należeć do ciebie. Chociaż mam nadzieję, że nie oczekujesz, że idą za tym duże pieniądze. Farma ma wysoką wartość, oczywiście, była jednak mocno zadłużona. Pan Ballentine wziął z banku pożyczkę hipoteczną. Większa część długu została spłacona, farma jest już samowystarczalna, ale, rozumiesz, większość zysku szła do tej pory na spłatę pożyczki.

- W jaki sposób zostałeś zarządcą Balleymore? - zacięwała się Emma.

- Posiadłość, odkąd pamiętam, była zarządzana przez Michaela Jordana. Zmarł on dziesięć lat temu. Farma zaczęła wtedy podupadać, a że, jak wspomniałem, była mocno zadłużona, bank nie mógł odzyskać swoich pieniędzy, władze lokalne zdecydowały, że trzeba powołać kogoś na stanowisko zarządcy, i cztery lata temu powierzono właśnie mnie tę funkcję. Wykonuję tę robotę, zatrudniony przez władze, aż do momentu, gdy zgłosi się prawowity właściciel i przejmie ode mnie farmę.

- Czy lubisz tę robotę?

- Można powiedzieć, że lubię. Jednak...

- Co takiego? - coraz bardziej ciekawił Emmę ten człowiek. Chciała wiedzieć o nim wszystko.

- Musiałbym mieć wolną rękę, możliwość decydowania o wszystkich sprawach. Jako zarządca nie mogę wprowadzić niektórych koniecznych zmian. Miałbym pewne pomysły, żeby usprawnić selekcję plonów. Powinno się wymienić maszyny. Ale, po pierwsze, nie jest to moja własność i nie mogę o tym decydować, a po drugie, z powodu zadłużenia farmy nie mógłbym dostać z banku pieniędzy na ten cel. Chociaż w przyszłym roku, gdy pożyczka wraz z odsetkami zostanie już spłacona, byłyby na to fundusze.

- Na szczęście nie muszę martwić się o pieniądze - powiedziała Emma. - Ostatnio dostałam pokaźną sumę za

obrazy mojego ojca, a i na moich książkach zarabiam całkiem nieźle. Wiesz o tym, że piszę książki?

- Edna Macrae coś mi o tym wspominała. Byłem wczoraj w bibliotece, szukałem pewnej książki o uprawie ziemniaka. .. Tam pracuje sympatyczna, starsza pani. Zapytałem ją o ciebie. Okazało się, że zna twoje książki i ceni je wysoko. Pożyczyła mi jedną.

- Którą? - zainteresowała się Emma.

- „Ten wściekły dzieciak”. Czytałem ją prawie całą noc. To jest bardzo dobre. Czy pisząc myślałaś o sobie?

- Częściowo o sobie, a trochę o innych z domu dziecka. To znaczy przedstawiłam to jako fikcję, chociaż w większości jest to prawda. Niewiele zmieniłam. Miejsce akcji, oczywiście i parę szczegółów w opisie moich bohaterów. Głównie po to, żeby mnie potem nie ciągał po sądach.

- Czy lubisz pisanie książek? - chciał wiedzieć John. Emma zastanowiła się przez chwilę, zanim udzieliła precyzyjnej odpowiedzi.

- W każdej mojej książce przynajmniej jeden kawałek piszę z prawdziwą przyjemnością. Czasami jest to początek, niekiedy któryś z dalszych rozdziałów. Oprócz mojej pierwszej książki. Wtedy pisanie nie było przyjemne. Byłam bardzo zamkniętym dzieckiem. Sama przed sobą nie chciałam przyznać się do tego, co czuję. Nieprzyjemne wspomnienia wpychałam głęboko w niepamięć, starałam się o tym nie myśleć. A już na pewno nikomu o tym nie opowiadałam. Pisząc o sobie, o porzuconych dzieciach, musiałam się otworzyć, sięgnąć do tych wspomnień, mówić czytelnikowi o sobie. To było bardzo bolesne. Poza tym pracowałam wtedy w barze fastfood, czterdzieści godzin na tydzień, cały czas na nogach, oprócz krótkiej przerwy obiadowej. Wracałam do pokoju, który wynajmowałam, okropnie zmęczona i pisałam aż do późnej nocy. Ale potem byłam z siebie dumna...

Spojrzała na Johna, czy rozumie. Skinął głową.

Rozmawiając tak, wjechali w dolinę ciągnącą się pomiędzy dwoma wysokimi wzgórzami, w zieloną, kwitnącą okolicę. Emma pomyślała, że tak właśnie wyobrażała sobie raj. Przez chwilę nawet miała chęć poczęstować Johna jabłkiem z rosnącej przy drodze dorodnej jabłoni.

- Czy to wszystko należy do Balleymore? To wspaniale! Co tutaj rośnie?

- Na wschodnich terenach są sady, jabłonie, a tam dalej hodowla ziemniaka. Część ziemi daliśmy w dzierżawę lokalnym farmerom. Ale najważniejsze tutaj są ziemniaki.

- Byłam kiedyś w Idaho i widziałam ziemniaczane pola - przypomniało się Emmie. - Nawet napisałam coś o tym w jednej z moich książek. W Idaho jednak nie było aż tak pięknie. Czy to nie przeszkadza, że pola leżą w górach? Czy nie byłby lepszy płaski teren?

- Zaraz sama będziesz mogła się o tym przekonać - zaśmiał się John. Za chwilę zobaczysz ziemniaczane pola Balleymore.

W ciągu kilku następnych godzin Emma dowiedziała się więcej, niż kiedykolwiek się spodziewała, że można aż tak dużo wiedzieć o zwykłych kartoflach. John nadzorował robotę, oglądał uprawy, rozmawiał z ludźmi. Co chwilę ktoś do nich podchodził, opowiadał o jakichś problemach, o drobnych sukcesach. Czują, że lada chwila będzie mogła uważać się za specjalistkę do spraw hodowli ziemniaka.

- Chodź, teraz pokażę ci mój dom - powiedział wreszcie John.
- To bardzo blisko stąd. Mam nadzieję, że mój gospodarz przygotował coś dobrego na obiad. Oczywiście nie gotuje tak dobrze jak Edna, ale można uważać, że nie jest najgorszy.

Wsiedli znowu do dżipa.

Dzień zaczął się tak miło - naleśniki, pani Macrae, i ta lalka. Zaraz, zaraz, pomyślała. Gertie? Sięgnęła do kieszeni i wyjęła niewielką lalkę. Pani Macrae powiedziała, że w dzieciństwie to była jej najlepsza przyjaciółka. Próbowała sobie przypomnieć Gertie. Gdzieś tam w zakamarkach świadomości, jakby się tliło

jakieś wspomnienie. Mała dziewczynka skulona w wielkim łóżku, tylko z lalką do przytulania. Mruknęła coś do siebie.

- Do kogo mówisz? - zapytał John. - Do mnie czy do siebie?

- Do siebie - uśmiechnęła się Emma. Nadal myślała o lalce, usiłując sobie przypomnieć. - Czy miałaś kiedyś lalkę, którą kochałaś?

Jak tylko wypowiedziała te słowa, od razu wiedziała, że nie były mądre. Duży, silny mężczyzna miałby się bawić lalkami?

John jednak miał szybki umysł.

- Jakoś mam wrażenie, że ta lalka jest ważna dla ciebie? Czy długo ją miałaś?

Czas na szczerłość.

- Nie pamiętam. Paru Macrae mówiła o tym, a ja nie mogłam sobie przypomnieć. Ale dość o Gertie. Czy to twój dom? Umieram z ciekawości.

- Tak - John zatrzymał samochód. - To jest farma Wel-dów. Mój dom. Witamy, panno Ballentine.

Jasno zdawała sobie sprawę z tego, o czym on teraz myśli. Nie mogła być tą prawdziwą Emmą, skoro nie pamiętała o lalce. A może po prostu mogła zapomnieć. Układanka z każdą chwilą stawała się coraz bardziej zagmatwana. Zdziwiłby się, gdyby mu niczego nie brakowało.

Emma wysiadła z dżipa, zanim John okrążył samochód, by otworzyć jej drzwi. Pachniał wodą po goleniu. Wyczuła również męski zapach potu. Dla jakichś powodów wydało jej się to podniecające. Spokojnie, Emma, skarciła sama siebie. On nigdy nie zainteresuje się tobą. Na pewno nie takim rudzielcem. Zawsze dzieci dokuczały jej z powodu włosów. Urodziła się taka i już. Nigdy nie widziała w swojej urodzie niczego, co byłoby warte uwagi. Nie sądziła, by John mógł lepiej oceniać jej urodę niż ona sama.

Doszli do drzwi wejściowych z mosiężną kołatką, ozdobionych wieńcem róż. John otworzył przed nią drzwi.

Weszli do małego korytarzyka. Jeszcze jakieś drzwi i John wprowadził ją do salonu.

Okrągły dywan pokrywał podłogę. W panującym półmroku trudno było ocenić jego wartość. Pachniało stęchlizną.

- Nic się nie bój - powiedział John. - Chodźmy teraz do stołowego. Zobaczymy, co mój gospodarz przygotował na lunch.

Otworzył drzwi po lewej stronie.

Pokój był ogromny. Na środku wielki, okrągły stół wypolerowany na wysoki połysk. Wokół stołu sześć skórzanych foteli. Na jednym z nich siedział jakiś człowiek dziwnie przypominający Luke'a. Łatwo można było zauważyć podobieństwo, chociaż człowiek ten był starszy, lekko posiwiały. Luke był elegancki, o gładkiej skórze, a on żyłasty o twarzy poranej bruzdami. Tak pomarszczony, że wyglądał jak mapa konturowa górzystego kraju. Usta ściągnięte w grymas, jakby nigdy nie gościł na nich uśmiech. Wyraz twarzy przypominał rozkapryszonego sześciolatka.

- Kto to jest? - burknął. - Twoja nowa kobieta? Zarechotał złośliwie. Potem spojrzął na Emmę.

- Musieliśmy się już kiedyś spotkać. Skąd my się znamy? Emma pomyślała, że on jest odrażający. Wbiła paznokcie w skórę swoich dłoni i starała się zachować spokój. Nic nie powiedziała. John powinien wiedzieć, jak postąpić.

- Dzień dobry, tato - powiedział głosem, jakiego Emma nigdy przedtem u niego nie słyszała. - Wcześniej dzisiaj wstałeś.

Mężczyzna nachylił do ust szklankę z żółtym płynem i wypił jednym haustem całą zawartość.

- Dlaczego nie zostałem w Paryżu? - mruknął.

Przez chwilę bawił się pustą szklanką, następnie rozluźnił palce i szklanka wyslizgnęła mu się z rąk.

Emma podniosła ją z podłogi. Wyczuła zapach alkoholu. Zbyt dużo pijanych w okolicy, pomyślała.

- Napełnij mi tę szklankę, dziewczyno - zażądał pijany

- Nie ma mowy - zaprotestował John. - Jeśli nawet chcesz wpędzić się do grobu, my nie będziemy ci w tym pomagać. Chodź, Emmo. Zjemy w kuchni. Tam panuje lepsza atmosfera.

Wyprowadził Emmę, otoczywszy ją ramieniem. Mężczyzna pozostał w jadalni i coś tam jeszcze mamrotał.

- Przepraszam za tę scenę - powiedział John. - Nie sądziłem, że go spotkamy. O tej porze zwykle śpi. Nie wstaje wcześniej niż o czternastej. I aż do piętnastej trzydzieści na ogół pozostaje trzeźwy.

- W porządku - zapewniła go Emma. - Jedna z moich rodzin zastępczych też była uzależniona od alkoholu. Widziałam dużo gorsze rzeczy.

- Mimo wszystko jestem zadowolony, że mam to już za sobą. Obawiałem się waszego spotkania.

- Dlaczego?

- Z powodu twojej matki, Pani Ballentine.

Emma wyczuła chłód w jego głosie, gdy wymieniał to nazwisko.

- Ta z zamkniętego pokoju?

- Tak. Wiele lat temu ona i mój ojciec pojechali razem do Paryża. To był skandal stulecia. Ona porzuciła trzyletnią córkę i męża. On uciekł od żony i dwóch synów. I potem, żeby pokazać, jak bardzo był dżentelmenem, kiedy skończyły się jej pieniądze, zostawił ją chorą i bez grosza i wrócił do domu. Po prostu pojawił się któregoś dnia przy śniadaniu, jak gdyby nigdy nic. Sądził, że kochająca rodzina mu to wybaczy. Ale matka mu tego nie mogła darować. Rozwiodła się i w niedługim czasie ponownie wyszła za mąż. Tym razem szczęśliwie. Ale nigdy mu tego nie zapomni.

Twarz Johna była jak z kamienia, głos dziwnie szorstki.

- Przepraszam, zupełnie nic o tym nie wiem. Mówiłeś, że wydali jej pieniądze? On ją zostawił. Jak stamtąd wróciła?

- Ja pojechałem po nią do Paryża. On nigdy nie miał pieniędzy - wyjaśnił John twardym głosem. - On natychmiast

wydawał każdy grosz, jaki wpadał w jego łapy. To ja musiałem odkupić naszą farmę od wierzycieli. On dostaje ode mnie regularną pensję, która wystarcza mu na alkohol i na to, żeby mógł czasem pograć w golfa, jeśli jest w stanie dojść na pole golfowe.

Ostatnie zdanie wypowiedział szczególnie beznamytnym tonem. Emma wiedziała, że nienawidził swojego ojca tak samo jak tej chorej kobiety zamkniętej w jednym z pokoi Balleymore.

- Nie rozumiem. Jeśli nienawidziłeś jej tak bardzo, to po co po nią pojechałeś?

- Nie mogłem pozwolić, by tam została. Czuję się odpowiedzialny za ojca. On uważał, że to zabawne. A ona czekała, aż on się z nią ożeni. Bardzo śmieszne.

- Czy łatwo ją znalazłeś?

- Poprosiłem o pomoc francuską policję.

- Jak to się stało, że zachorowała?

- Głównie przyczyniły się do tego papierosy. Paliła cztery, pięć paczek dziennie.

- Przywiozłeś ją i co dalej? Zamknąłeś ją w tamtym pokoju? Za karę?

- To był jej pomysł. Panicznie bała się spotkania z moim ojcem. Można powiedzieć, że w ogóle zaczęła bać się ludzi.

Uważała, że zamknięta będzie bezpieczna. Ja ze swojej strony dopilnowałem, żeby on tam nigdy nie chodził.

- A co teraz?

- Teraz ona ma mnóstwo problemów. Jest umierająca. Prawdopodobnie ona jest właścicielką Balleymore. Nie powie nam jednak, czy zrobiła testament i co on zawiera. To jest w tej chwili dla prawników dużym problemem. I jeśli nawet jesteś prawdziwą Emmą Ballentine, też możesz niczego nie odziedziczyć. To zależy od tej kobiety. Tej, która urządziła taką awanturę, kiedy cię zobaczyła.

Jest jakaś nadzieja, pomyślała Emma niewesoło. Dobrze, że nie zależy mi na pieniądzach.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Emma wstała wcześniej następnego poranka, a jak na nią to nawet bardzo wcześniej. Poczula zapach kawy i wiedziała, że to przyciąga ją jak magnes. Musiała napić się kawy.

- Witaj, moja panno - ucieszyła się na jej widok pani Macrae.
- Widzę, że trafiłaś do kuchni bez trudu.

- Jeszcze nie całkiem się obudziłam, Mattie, ale poczułam zapach kawy.

- Jak mnie nazywasz? - zdziwiła się pani Macrae. Wyraz szczęścia pojawił się na jej twarzy.

- Pani Macrae. Czy coś w tym złego? - spytała Emma.

- Powiedziałaś Mattie - stwierdziła gospodyni z lekkim niedowierzaniem. - Moja Emma tak mnie nazywała, gdy była malutka. Nie wymawiała „K”, tak było jej wygodniej. Ona zawsze nazywała mnie Mattie. Byłabym szczęśliwa, gdybyś nadal tak się do mnie zwracała. - Zawahała się. - To nie ma sensu, nieprawdaż?

- To ma wystarczająco dużo sensu. Będzie to dla mnie zaszczyt tak panią nazywać, jeżeli pani się zgodzi. Nawet jeśli mogłabym być tą fałszywą Emmą z Balleymore. - Spojrzała z powagą w oczy gospodyni. Lubiła ją i bała się ją zranić.

Zanim gospodyni odpowiedziała, Emma dokończyła pierwszą filiżankę kawy i pustą znowu napełniła po brzegi, dolewając kawy z ekspresu.

- Emmo Ballentine - upomniała ją gospodyni. - Przecież wiem, że jesteś moją małą Emmą, której wypatrywałam tyle lat. Tutaj jest twoje miejsce. Co zrobić dla ciebie na śniadanko?

- A co pani robi dla innych? - Emma nie chciała sprawiać starszej pani dodatkowego kłopotu.

- Już ci mówię. Robię grzanki w cieście. To zawsze była jedna z twoich ulubionych potraw.

- Nadal bardzo je lubię. A gdzie jest John? - zapytała, starając sienie okazać nadmiernego zainteresowania. - Sądziłam, że będzie tutaj.

- John pojechał z samego rana do Bostonu do hurtowni kwiatów - odrzekła Mattie, mieszając energicznie jajka z mlekiem i krojąc pieczywo.

- Po co? - zdziwiła się Emma.

- Farma Weldów specjalizuje się w kwiatach. Czy nie pokazywał ci wczoraj ukwieconych pól? Co roku mają dobre zbiory, ale najczęściej zarabiają na kwiatach. Hodują wszystkie gatunki, zależnie od pory roku, ale róże przez cały rok. Pod szkłem oczywiście.

- Wczoraj byłam bardzo zmęczona, jedynie rzuciłam okiem na farmę.

- Grzaneczki gotowe. Chodź tu, moja droga. Czy polać ci syropem?

- Uwielbiam syrop - uśmiechnęła się Emma. - Dlaczego nie siadasz koło mnie, Mattie? Czy mogłabyś opowiedzieć mi o Balleymore.

Mattie usiadła. Co powiedzieć Emmie, którą kochała, żeby nie zranić jej uczuć? Na pewno nie chciała rozmawiać o spadku i o Jill.

- Czy pamiętasz mojego ojca, Mattie? - zapytała Emma z wahaniem. - Jak to się stało, że mnie stąd zabrał? Powiedziałaś wczoraj, że nie mogłam zostać. Dlaczego?

- Twój ojciec - powiedziała Mattie z żalem - był urokliwym, młodym człowiekiem, który odziedziczył farmę i nie chciał być farmerem. Pragnął być artystą. To był cel jego życia. Twoja matka była malarką, która się w nim zakochała. Zupełnie nie wiem, dlaczego go poślubiła. Prawdopodobnie sądziła, że jest bogaty. Od początku im sienie układało. Część problemów wynikała z tego, że malowała lepiej niż on. Urodziłaś się dziewięć miesięcy po ślubie. Pokochałam cię od początku i bardzo lubiłaś być ze mną. Gdy miałaś trzy latka, twoja mama

związała się z Weldem seniorem, ojcem Johna i Luke'a. Dużo gadał, że powinni się pobrać i ona wystąpiła o rozwód. Ojciec zgodził się na rozwód, ale nie chciał, żeby ciebie zabrała. Zdawał sobie sprawę, że będziesz elementem przetargowym. Wziął pożyczkę hipoteczną i zapłacił jej bardzo dużo pieniędzy. Dlatego posiadłość była tak zadłużona.

- Jeżeli on już jej zapłacił za to, żebyś mogła być z nim, to dlaczego musieliśmy wyjechać do Nowego Jorku? - Emma chciała mieć jasny obraz sytuacji. - Czy nie mogliśmy tutaj zostać razem?

- Kochanie, on cię wywiózł, bo ona i tak mogła w każdej chwili cię zabrać i zażądać następnych pieniędzy. Proponowałam, że zajmę się tobą, ale on zdecydował, że im mniej osób będzie wiedziało, gdzie jesteś, tym lepiej.

Emma poczuła, że właśnie w tym momencie może zrozumieć, dlaczego jej życie było takie trudne.

- Teraz dokończ grzaneczki - powiedziała Mattie z miłością w głosie, ale stanowczo. - Przygotuję jeszcze śniadanie dla pielęgniarki.

Starsza pani powoli wstała od stołu i Emma pomyślała, że musi być bardzo zmęczona.

- Może ja zaniosę na górę - zaoferowała się Emma.

- Byłabym ci bardzo wdzięczna. Mam wrażenie, że te schody co roku stają się wyższe. Ale to chyba po prostu ja się starzeję.

Emma ostrożnie weszła na schody, niosąc tacę z kawą, szklanką soku pomarańczowego, grzankami i srebrem stołowym.

Pielęgniarka podeszła do drzwi i uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Nie byłam pewna, czy będę mogła zejść na dół. Ona nie czuje się najlepiej. Przekaż podziękowania pani Macrae. Wspaniale gotuje.

Harrieta postawiła tacę na stoliku. Zza zamkniętych drzwi sąsiedniego pokoju dobiegały jakieś głosy.

- Pani Ballentine ma gościa od rana - wyjaśniła siostra, widząc pytające spojrzenie Emmy.

Gdy to mówiła, drzwi otworzyły się. Jill stanęła w progu z wyrazem twarzy, jakiego Emma jeszcze u niej nie widziała. Jill wyglądała jak kot, który przed chwilą zeżarł kanarka.

- Pani Ballentine prosi panią do siebie - zwróciła się do pielęgniarki.

- W takim razie ja już zejść na dół - powiedziała Emma.

- Nie - rzekła Jill. - Pani Ballentine chce również widzieć panią. Proszę poczekać. Dobrze się składa, że nie muszę pani szukać.

Czy to nie dziwne, zastanawiała się Emma. Jeśli ona jest prawdziwą Emmą, dlaczego mówi o swojej matce pani Ballentine?

Harrieta wyszła z pokoju pacjentki z niezadowoloną miną.

- Nie wiem, skąd jej przyszło z głowy popijać lekarstwo wodą z lodem - mruzczała z dezaprobatą. - Coś mi się tu nie podoba. Ona życzy sobie, żeby pani teraz do niej przyszła. Zejść po lód, ale wróć tak szybko, jak tylko będę mogła. Jak pani wiadomo, wychodząc będę musiała zamknąć za sobą drzwi na klucz.

- W porządku - odparła Emma, uśmiechając się do Harriety opuszczającej pokój.

Gdy jednak rozległ się zgrzyt przekręcane go klucza, poczuła strach. Pierwsze spotkanie z panią Ballentine nie było przyjemne. Pomysł przebywania razem z nią w zamknięciu z pewnością nie należał do najszcześniejszych.

- Prosimy! - zawołała Jill. - Siostra zaraz powinna wrócić, a my chcielibyśmy coś pani powiedzieć.

Emma zebrała się na odwagę i weszła do pokoju pacjentki. Pani Ballentine siedziała w fotelu inwalidzkim przy biurku. Przez chwilę żadna z kobiet nic nie mówiła. Cisza wydała się Emmie niepokojąca.

- Tak... - mruknęła. - Chciały mi panie coś powiedzieć.

- Mamy do pani taką sprawę - rzekła chorą, unikając jej spojrzenia. Jej głos z trudem wydobywał się z osłabionego gardła.

- Sprawę? Słucham.

- Tak. Mamy dla pani propozycję lepszą niż cokolwiek innego. Damy pani pewną sumę pieniędzy, jeżeli opuści pani Balleymore. Proszę wracać do Nowego Jorku.

Emma nie odpowiedziała. Te kobiety patrzyły na nią jak para złodziei przygotowujących się do obrabowania kościoła. Ale życie wyrobiło w Emmie odporność na takie rzeczy. W domu dziecka stykała się z różnymi ludźmi.

- Jaka to suma? - zapytała rzeczowo.

- Pięćset dolarów - odrzekła pani Ballentine takim tonem, jakby chodziło o niezwykle duże pieniądze.

Dziewczyna omal nie roześmiała się usłyszawszy to. Dziesięć lat temu faktycznie mogła to być dla niej kusząca propozycja. Obecnie, gdy jej książki ukazywały się regularnie, gdy sprzedawała obrazy ojca, oferta rozbawiła ją. Spokojnie, upomniała się w myśli, zobaczymy, co więcej kryje się za tymi pieniędzmi.

- Proszę dać mi trochę czasu do namysłu.

Dlaczego ona tak unika mojego spojrzenia? - zastanawiała się Emma. Czy to naprawdę moja matka? Dlaczego czyni mi takie dziwne propozycje?

- Radzimy skorzystać - rzekła Jill. - Bo kiedy sąd orzeknie, że to ja jestem prawdziwą Emmą, będzie musiała pani odejść z niczym.

- Jakże to miłosiernie z waszej strony.

- Proszę po prostu się zgodzić.

- Jaka forma płatności? - zapytała konkretnie Emma. Nie wychowywano jej pod kloszem i spotykała się w życiu naprawdę z przeróżnymi ludźmi.

- Czek - zdecydowała pani Ballentine.

- W takim razie odmawiam. Czeka bez pokrycia zupełnie mnie nie satysfakcjonują. Ewentualnie gotówka.

Pytania kłębiły się jej w głowie. Co tu się dzieje? Czyżby spodziewały się, iż skorzysta z tej dziwnej oferty? Gdzie jest John? Chciała, żeby on tu był. Te dwie kobiety wyglądały na takie wściekłe, że diabeł wydawałby się przy nich niewinną owieczką.

- Gotówka! - prychnęła pani Ballentine. - Albo czek, albo nic.

- Gotówka - rzekła Emma zimnym tonem, jakiego nauczyła się używać w domu dziecka.

- Jill? Ile masz pieniędzy? - zapytała chora konspiracyjnym szeptem. - Ja mam w biurku pięćdziesiąt dolarów.

- Cały mój majątek to dwadzieścia dolarów. W portmonetce w moim pokoju. Sądziłam, że ma pani pieniądze.

- Nie tutaj. Mam, ale teraz nie mogę się do nich dostać. Zgrzyt klucza w drzwiach. Wróciła pielęgniarka. Emma odetchnęła z ulgą. Jeszcze chwila, a nabawiłaby się poważnej klaustrofobii.

- Siostra wróciła, a ja niestety muszę już iść. Dziękuję za miłą rozmowę.

Mało brakowało, a nie opanowałaby nerwów. Pielęgniarka wróciła w samą porę.

- Mam jednak dla was propozycję - powiedziała ironicznie, zatrzymując się przy drzwiach. - Po tysiąc dolarów dla każdej. Jill, żeby się wyniosła. Matce, żeby uznała mnie taką, jaką jestem.

- Skąd weźmiesz tyle pieniędzy?

- Zarabiam wystarczająco dużo pisaniem książek, a i obrazy mojego ojca udało mi się nieźle sprzedać.

- Jak mógł się znaleźć ktoś tak ślepy, żeby kupować obrazy twojego ojca. Jestem większą artystką, niż on był kiedykolwiek.

- Wiesz, co - Emma spojrzała na chorą z góry - jesteś dziś drugą osobą, która mi to mówi. Ale ja nigdy nie widziałam w galerii twojego obrazu.

Chora zrobiła wysiłek, żeby wstać z fotela, jednak tylko trochę zdołała się unieść.

- Wyjdź stąd! - krzyknęła. - Wyjdź i już nie wracaj!

- Niedobrze, że nie jest pani moją matką - rzekła Emma z westchnieniem. - Bo ja jestem prawdziwą Emmą Ballentine. Jeżeli nie jest pani moją matką, to kim pani jest? Diabłem? Wiedźmą z Łysej Góry?

Zapadła kłopotliwa cisza. Emma określiła się na pięcie i wyszła z pokoju pacjentki.

- Kłopoty? - życzliwie zapytała pielęgniarka, gdy mijały się w drzwiach.

- Nie dla mnie - gładko odparła Emma. - Przykro mi, jeśli teraz będzie miała pani więcej roboty, ale już nie mogłam wytrzymać.

Wiał lekki wiatr od zachodu. Emma rozpuściła włosy i pozwoliła im opaść na plecy. Ławka pod dębem zapraszała. Usiadła i przymknęła oczy. Otoczył ją świat zapachów i dźwięków - śpiew ptaków, ryk krów na pastwisku, bzytanie komarów.

Zachrząścił żwir na ścieżce. Ktoś usiadł obok niej. Ktoś otoczył ją ramieniem.

- Przecież ona wie, że jestem jej córką - szepnęła Emma, nie otwierając wilgotnych oczu. - Kłamała świadomie, mogłam to odczytać z jej twarzy. A jednak nie chciała tego przyznać. Dlaczego? Powiedz mi, John, dlaczego?

Usłyszała czyjś śmiech i otworzyła oczy. To nie był John. Emma usiłowała odsunąć się, ale Lukę zbyt mocno trzymał ją w objęciach.

- Zrelaksuj się - powiedział, przysuwając się jeszcze bliżej. - Zawsze lepiej mieć kogoś przy sobie, jak się ma kłopoty. Ja też jestem nieszczęśliwy i na pewno potrafię cię zrozumieć.

Łzy popłynęły ciurkiem z oczu Emmy. Nadal próbowała szamotać się z Lukiem, ale jego ramię wydawało się ciężkie jak z żelaza. W końcu dała spokój nieefektywnej szamotaninie.

- To co się wokół dzieje - powiedział - nazywa się grą o pieniądze. Dlaczego tak się złożyło, że ja jestem młodszym

synem? Nie, nie próbuj odpowiadać. Ja tobie powiem. John jest pierworodny. I jedynie z tego powodu przypadły mu w udziale pieniądze dziadka Harrisa. To wystarczyło, żeby mógł wykupić farmę Weldów. Dziadek Harris trzymał się zawsze starych zasad. Zostałem wystrychnięty na dudka.

- Nie zawsze życie jest usłane różami. Trzeba samemu torować sobie drogę - mruknęła Emma.

- Tak, ale w końcu kiedyś trzeba coś dostać od życia. Ojciec już pewno długo nie pożyje. Na Boga, przecież jego wątroba musi być już doszczętnie zniszczona. Umrze, no i co z tego? Nic nie zostaje do dziedziczenia. John już i tak wykupił dla siebie farmę Weldów za ten szmal od dziadka. I farma Weldów już jest jego. I jeszcze tego mu mało, bo równocześnie zarządza farmą Ballentine'ów, czerpiąc z tego niezły grosz. Szczęśliwy? To zbyt łagodne określenie. Czasami wydaje mi się, że on sprawuje kontrolę nad całą wsią.

- Nie rozumiem.

- Nie bądź głupia - zachnął się Luke. - On zmierza do tego, by zawładnąć Balleymore. I jeśli ty odziedziczysz i on się z tobą zaprzyjaźni, to będzie mógł taniej odkupić od ciebie farmę. Wiesz, co powiedziałem Jill w sekrecie? Firma budowlana, oferująca tanie domki jednorodzinne, już czeka z pieniędzmi. Podoba im się ten teren. Chcą odkupić od nas ziemię. Oni dadzą więcej pieniędzy niż John. On chce ich przechytrzyć i dlatego stara się zaprzyjaźnić z tobą.

- Po co mu Balleymore?

- Twoja matka uciekła wtedy z naszym ojcem. Gdyby nie ona, nasi rodzice nigdy by się nie rozwiedli. John uważa, że ona jest odpowiedzialna za rozpad naszej rodziny. On nienawidzi wszystkich Ballentine'ów i będzie szczęśliwy, patrząc na upadek tego rodu. Nie rób sobie żadnych romantycznych nadziei w związku z Johnem.

- Po co mi to wszystko mówisz?

- Nie chcę, żeby John cię skrzywdził. On wykorzystuje kobiety.

- Co robi?

- Tak. On pnie się w górę po trupach. Najlepsza metoda to wykorzystać do tego celu naiwne kobiety skłonne do romantycznych wyobrażeń. On nie potrzebuje kobiet do niczego innego, tylko by mu pomogły w osiągnięciu kolejnego celu.

Emma była teraz zbyt zaskoczona, by odpowiedzieć. Starala się powiększyć przestrzeń dzielącą ją od Luke'a. On wierzył w to, co mówił. Miał taką minę, jakby właśnie wysysał sok z cytryny i pogryzał pestkami.

- A co ty z tego będziesz miał? - zapytała Emma z podejrzliwością mieszkanki Nowego Jorku.

- Ja zostanę twoim agentem - odparł szybko, przybierając nieskazitelnie uprzejmy wyraz twarzy. - Wiem, kto z firmy budowlanej planował zakup ziemi i kto ma pieniądze. I gdy transakcja dojdzie do skutku, dostanę od ciebie procent od ceny sprzedaży. Piętnaście, no może... dwadzieścia pięć procent byłoby akurat.

W głosie jego brzmiało tyle obłudy, że Emma ani myślała, żeby zatrudniać go jako swojego agenta. Choć te rzeczy, które mówił o Johnie mogły być prawdą. To by pasowało do jego dziwnego zachowania.

- Potrzebuję trochę czasu do namysłu - powiedziała.

- Poczekam - uśmiechnął się do niej uwodzicielsko. Udało jej się jednak odsunąć od niego jeszcze o parę centymetrów.

- W tej chwili trudno mi cokolwiek powiedzieć. Jestem zbyt zmęczona, żeby o czymkolwiek teraz decydować. Zbyt dużo się dzieje, muszę pozbierać myśli. Jeśli się zdecyduję, to cię zawiadomię. Zgoda?

- Zgoda! - śmiał się do niej, jego białe zęby przypominały dobrze umyte, lakierowane kafelki, jakie widziała w łazience u jednej ze swoich rodzin zastępczych. Jak pamiętała, John miał jeden siekacz trochę ciemniejszy od pozostałych. Ale czy to

było ważne?

Lukę wstał z ławki i pociągnął Emmę ku sobie.

- Uważam, że powinniśmy uczcić naszą umowę pocałunkiem - zaproponował.

Emma właściwie nie miała nic przeciwko temu. Przez całe swoje życie bardzo rzadko bywała całowana. Jego usta delikatnie zbliżyły się do jej warg. Świat jakby zniknął, była jakaś magia w tym pocałunku, jakiś czar. Gdy pocałunek przeminał, opuściła głowę. Starła się nie patrzeć w jego oczy, czekając aż świat powróci na swoje miejsce.

Dotknął palcem jej policzka.

- To jeszcze nie była prawdziwa namiętność, prawda? Przytaknęła.

- Ale nie było również przykre? Znowu skinęła głową.

- Dobrze, zatem to był pierwszy krok w realizacji naszej umowy. Chyba nie będziesz narzekać.

- Czy na pewno pamiętasz o swojej narzeczonej? Co z Jill?

- Jill? - zdziwił się. - Ona ma swoje szanse w tej grze, jak każde z nas.

Odwrócił się i odszedł.

W tej grze? O co mu chodzi? Gra? Dla niej to była najważniejsza gra na świecie. Gra o miłość. Przecież nawet nie znała reguł tej gry.

John Weld pojechał do hurtowni kwiatów, zrealizował pokaźne zamówienie, a w drodze powrotnej wstąpił do Deerfield, do mecenasa Arthura Hendricksa. Był umówiony z prawnikiem. Pan Hendricks, mężczyzna dobiegający osiemdziesiątki, od dłuższego czasu był już na emeryturze, zajmował się jedynie sprawami starych, dobrych przyjaciół i ich potomków.

- Balleymore - mruknął. Poprosił Johna do znajdującego się w głębi mieszkania gabinetu. - Tak, pamiętam Balleymore. Oczywiście, że pamiętam. Dom zbudowany wysoko w górach, farma. Należy do Ballentine'ów. Pamiętam ich bardzo dobrze.

Niestety, od kilku już lat nie słyszałem żadnych nowych plotek o Balleymore.

- Powierzono mi zarządzanie farmą dla pani Ballentine.

- Dla władz stanowych, nie dla pani Ballentine, jak pamiętam. Zatem z jaką sprawą przychodzisz?

- Na jedno wychodzi, dla niej czy dla władz - mruknął John, siadając na wskazane mu krzesło.

- Więc, młody człowieku, jak brzmi twoje pytanie?

- Rozmawiałem wczoraj z doktorem Owensem. Twierdzi, że to już ostatnie dni życia pani Ballentine. Jest umierająca. Jako zarządca muszę być przygotowany na taką ewentualność. Czy mógłbym zobaczyć jej testament?

- Nie wiem, młody człowieku, czy pokazałbym ci ten testament, gdybym go posiadał. Jednakże nie posiadam.

- Nie ma pan testamentu pani Ballentine?

- Z całą pewnością nie mam nic takiego.

- Sądziłem, że pan właśnie zajmuje się wszystkimi sprawami rodziny Ballentine.

- Sądzę, że nadal reprezentuję sprawy Ballentine'ów, chociaż od kilku lat nie miałem z nimi kontaktu.

- O Boże - jęknął John. - I co będzie, jeśli ona umrze już jutro?

- Nie ma powodu do niepokoju. Aczkolwiek Weldowie zawsze lubili niepotrzebnie się denerwować. Pani Ballentine nie musi sporządzać testamentu. Nie posiada mienia, które mogłaby komuś przekazać w spadku.

- Oprócz farmy, na którą ostrzy sobie zęby firma budowlana. Farmy wartej całkiem niezłą sumkę.

- To niezupełnie się zgadza. Trudno tu mówić o jakimkolwiek posiadaniu - mruknął prawnik.

Wyjął z półki jakiś segregator.

- Zaraz, zaraz, gdzie to będzie? Pod „B”? Nie, pod inną literą - mówił do siebie. - Pod „R” jak rozwody...

Sięgnął po kolejny bardzo zakurzony segregator.

John popatrzył z podziwem. Ten mężczyzna, już prawie osiemdziesięcioletek, powoli cedził informacje, mówił tylko to, co wydawało się niezbędne. Był jednym z najlepszych ekspertów prawa cywilnego.

Pan Hendricks szukał czegoś w segregatorze. W powietrzu robiło się coraz więcej kurzu, aż John lekko zakasłał.

- Proszę tu spojrzeć - powiedział prawnik. - Sprawa jest dość prosta. Pani Ballentine, rozwodząc się, zażądała gotówki, prawie pięciuset tysięcy dolarów. Edward zaciągnął pożyczkę hipoteczną pod zastaw farmy. Pani Ballentine zrzekła się prawa do Balleymore, wszelkie swoje prawa w dniu rozwodu przekazała na dziecko. Aktualnie nie ma prawa do dysponowania majątkiem, który do niej nie należy. Nie posiada niczego do przekazania komukolwiek.

- Nic do niej nie należy?

- Nie ma ani grosza, ani żadnego majątku. Pamiętam, dostała wtedy czterysta dziewięćdziesiąt pięć dolarów. O ile wiem, wszystko od razu wydała. Ostatnie pieniądze, jakie miała, straciła w Paryżu, udając się tam, jak pamiętam, z twoim ojcem. Nieprawdaż, młody człowieku?

- O Boże, naprawdę to było prawie pół miliona dolarów. Tak, to prawda. Mój ojciec pomógł jej to "wydać. Kto w takim razie dziedziczy?

- Majątek należy do Edwarda Ballentine...

- Nie żyje - wtrącił John.

- To upraszcza sprawę - zaśmiał się prawnik. - Istnieje jakaś mała dziewczynka, której przypadnie w udziale cały majątek.

- Owszem, istnieje mała dziewczynka - przytaknął John.

- Na imię ma Emma, po matce. Prawdopodobnie jest to jedyna rzecz, jaką ta dziewczynka dostała po swojej matce.

- Jeżeli pan Ballentine nie żyje, należałoby przedstawić sądowi akt zgonu. Dziewczynka musi mieć teraz około dwudziestu lat. Czy wie pan może, gdzie ona się znajduje?

John spróbował rozprostować ścierpięte nogi. Prawnik był małego wzrostu, lecz jemu, potężnemu mężczyźnie, niezbyt było wygodnie na niewysokim krzeselku. Czuł się trochę jak w ciasnym samochodzie.

- Tak, wiem, gdzie jest teraz Emma Ballentine. Problem jest jednak w tym, że są aż dwie Emmy i trudno ustalić, która z nich jest prawdziwa.

- No to ładnie - zaśmiał się prawnik. - Jaka jest aktualnie wartość farmy?

- Coś około czterech milionów. Przynajmniej tak wynika z raportu dla wydziału podatkowego.

- No to ładnie - powtórzył prawnik. - Trzeba znaleźć jakiś sposób na ustalenie, która pretendentka do spadku jest prawdziwą Emmą Ballentine.

- Mam nadzieję, że to się w końcu da wyjaśnić. Czy zechciałby się pan zająć tą sprawą?

- Możliwe, chociaż nie jestem już taki sprawny jak kiedyś. Lepiej by było ustalić tożsamość obu pań, zanim otworzymy testament Edwarda Ballentine. Zostawił on jakiś testament, jak przypuszczam?

- Tak, ale należałoby sprawdzić autentyczność tego dokumentu. To zwykła kartka papieru, na której napisał odręcznie, że cały majątek przekazuje swojej córce. Prześle panu jutro rano niezbędne dokumenty.

- Zgoda, zajmę się tą sprawą, młody człowieku. Zrobię to dla pana. Potrzebna będzie opinia eksperta. Szczególnie, że chodzi o tak znaczną sumę. Teraz niestety będę musiał pana pożegnać. Chciałbym się jeszcze zdrzemnąć przed kolacją. Nie mam już tyle siły co dawniej.

Trwało to jeszcze dość długo, zanim wymienili wszystkie grzeczności i John wyszedł z biura prawnika na skapaną w późnym, letnim słońcu ulicę. Nadal był pełen niepokoju. Wizyta u prawnika nie przyniosła mu ulgi. Nie czuł się ani trochę

spokojniejszy niż przed przyjazdem do Deerfield. Nadal istniało niebezpieczeństwo, pole do przeróżnych spekulacji.

Zatem pani Ballentine od razu wydała całą swoją część spadku. Emmie przypadnie reszta. I -tego obawiał się najbardziej.

Co Emma zrobi z majątkiem wartym cztery miliony dolarów? Wiadomo, że nie opędzi się od ofert firmy budowlanej

- upatryli sobie tę ziemię i dadzą za nią każdą sumę. Będzie mogła dostać tyle pieniędzy, ile tylko zażąda. Co będzie, jeśli zdecyduje się sprzedać farmę firmie budowlanej? Dwadzieścia rodzin pracujących na farmie zostanie wyrzuconych na bruk. Stracą możliwość zatrudnienia, będą musieli się przeprowadzić, porzucić ziemię, na której od kilku pokoleń mieszkali i pracowali. Co to ją obchodzi? Sprzeda wszystko i wróci do Nowego Jorku do swojego życia, do swojego pisania książek, myślał. Dlaczego miałaby być inna niż jej rodzice? Nienawidzę Ballentine'ów!

Potem John zdenerwował się jeszcze bardziej. Dlaczego miałoby być dla niego ważne, czy Emma okaże się osobą odpowiedzialną, troszczącą się o los innych? Przecież nie cierpiał całej rodziny Ballentine.

- Muszę o tym pamiętać - powtarzał sobie wielokrotnie.

- Nie mogę puścić płazem tego, co zrobili mojej matce.

Zdegustowany światem, który jakby zaczął się chwiać, John pomaszerał do miejsca, w którym zostawił swój samochód.

Droga powrotna minęła szybko. Gdy już prawie dojeżdżał do domu, zatrzymał się, jak to często robił, na parkingu przy punkcie widokowym. Turyści, rzadko co prawda przyjeżdżający w te okolice, mieli możliwość nie tylko obejrzenia zabytkowego domu generała Ephrama Ballentine, również przygotowano dla nich przy szosie kilkanaście punktów widokowych, z których mogli podziwiać góry. John szczególnie upodobał sobie to miejsce, prawie u szczytu wzgórza, skąd roztaczał się widok na posiadłość Balleymore. Pokochał tę ziemię dużo wcześniej,

zanim przybyły tutaj obie Emmy. Teraz nieoczekiwanie zdał sobie sprawę, że posiadłość stała się mu droga, ponieważ była tutaj Emma.

Ileż jest w tej kobiecie ciepła, ileż uroku! Nigdy przedtem nie doświadczył takiego uczucia.

Miłość? Dobrze, znam ją zaledwie kilka dni i gotów jestem pograć się w uczucie jedynie z powodu tej miłej buzi... To Luke'owi może zdarzyć się coś takiego, ale nie mnie. Poza tym ona jest Ballentine. Musisz ciągle sobie o tym przypominać, upominał siebie w myśli.

Wychylił się przez okno samochodu i spojrział w stronę stojącego na wzgórzu domu. Coś jasnego błysnęło w słońcu. Jakby w pobliżu starego dębu. Wyjął ze schowka lornetkę. Starannie przeczyścił szkła. Przyłożył lornetkę do oczu. Nastawił ostrość... To była Emma. Kochana, czarująca Emma. I jego cholerny brat, Luke. Całował ją. John poczuł się obezwładniony zazdrością. Mało brakowało, a cisnęłoby lornetkę na środek szosy, taki był zły.

- Dla niej życie to gra - mruknął. - Jest taka sama jak jej matka. To tylko gra. Wybij sobie z głowy jakiegokolwiek związku z tą dziewczyną. Ona stara się rozdzielić Luke'a i Jill, tak jak jej matka rozbiła kiedyś małżeństwo moich rodziców. Spokojnie - powiedział do siebie. - Ojciec też był winien.

Pojechał do Paryża z własnej woli. Aż palił się do tej kobiety. A Lukę także wie, co robi. Prawdopodobnie zrozumiał, że Jill ma mniejsze szanse na spadek niż Emma i obstawia teraz oba typowania. Lukę nie osiąga swoich celów uczciwą pracą, tylko intrygą i oszustwem. Ciekawe, co też nagadał Emmie. Z drugiej strony ona musi być tak głupia jak jej matka, żeby wierzyć w takie kłamstwa. Cholerna córeczka swojej mamusi. Miałem rację. Nie trzeba było nabierać się na wielkie szmaragdowe oczy i delikatną, jasną skórę. Kobiety Ballentine'ów są jak trucizna!

Emma siedziała jeszcze na ławce pod dębem. Patrzyła na góry i przemierzała w, wyobraźni stare indiańskie szlaki.

Trzasnęły drzwi, Jill wyjrzała na ganek. Zauważyła Emmę i nucąc radośnie jakąś piosenkę podbiegła do niej.

- Och, Emma! - zawołała podekscytowana. - Ona to zrobiła! Ona naprawdę to zrobiła!

Emma spojrzała na nią lekko zdziwiona.

- Zrobiła to? To wspaniale!

Jill na chwilę otrząsnęła się z tej niezwyklej radości. Spoważniała.

- Przecież nawet nie wiesz, o czym mówię - mruknęła.

- Nie wiem. Ale jeśli to uczyniło cię szczęśliwą, to ja też się cieszę.

- Emmo Elizabeth, nie rób ze mnie idiotki! - krzyknęła Jill. Potem znowu ogarnęło ją podniecenie. - Pani... moja matka podpisała wreszcie testament. Och, taka jestem zadowolona. ..

- Czy mogę zapytać, komu zapisała majątek? Czy nie jestem wścibska?

- Dobrze - Jill usiadła koło niej na ławce. - Nigdy byś nie zgadła!

- Z pewnością bym nie zgadła. Więc kto dziedziczy?

- Ja! - Jill wstała z ławki i zaczęła tańczyć dookoła drzewa, ciesząc się jak mała dziewczynka, która dostała na obiad dwie porcje lodów. - Ja! - powtórzyła. - Ja dziedziczę wszystko!

- I czy to nie miłe? - uśmiechnęła się Emma. Potem coś jej się przypomniało. - I nic dla pani Macrae? Nic dla pielęgniarki?

- Nic.

Jill odtańczyła jeszcze jedną rundkę wokół drzewa. Stała przed Emmą z uroczystym wyrazem twarzy.

- Nic. I dla ciebie też nic, Emmo Elizabeth.

- Żaden problem - odparła spokojnie Emma. - Nie potrzebuję pieniędzy. Byłabym szczęśliwa, gdybym mogła mieszkać z kimś, kogo kocham, gdybym miała dom. Tego mi trzeba, nie pieniędzy. Gratuluje ci, Jill.

- Dziękuję - uśmiech na twarzy Jill znowu przypominał minę kota, który właśnie zeżarł kanarka. Poczucie winy było

widoczne jak na dłoni, ale mniejsza z tym. Jill odeszła rozglądając się za Lukiem.

Ciekawe, co się jeszcze wydarzy, pomyślała Emma. Cóż za poplątany dzień. Lukę próbuje wciągnąć mnie w swoje ciemne sprawy. Całuję się z nim, chociaż, prawdę mówiąc, zakochałam się w Johnie... Jill odziedziczy posiadłość. Tak naprawdę to oznacza, że moja matka wyparła się mnie ponownie. Znowu zostałam porzuconym dzieckiem, sierotą...

Emma, mimo tylu lat ciężkich doświadczeń, nie potrafiła się przyzwyczaić do trudnego, samotnego życia. Wręcz przeciwnie, czuła się przeraźliwie zmęczona samotnością. Marzyła, by wreszcie mieć kogoś bliskiego, kogoś na zawsze. W tej chwili te marzenia nie miały żadnego sensu. Wzruszyła ramionami.

Pakuję się i wyjeżdżam, pomyślała.

Gdy tak siedziała pogrążona w bolesnych myślach, usłyszała czyjeś kroki. Zza murów domu wynurzył się John. Był Wściekły.

- Wiedziałem! - krzyknął. - Miałem rację!

- O czym wiedziałeś? - zapytała Emma.

- Jesteś dokładnie taka jak twoja matka! Nie umiesz trzymać łap z dala od mężczyzn - powiedział ze złością.

- O czym właściwie mówimy?

- Widziałem, jak całowałaś się z Lukiem! Tak samo, dokładnie taki sam obrazek, kiedy widziałem twoją matkę całującą się z moim ojcem. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Jesteś taka jak ona.

- Rozumiem - stwierdziła Emma, podnosząc się z ławki. - Właśnie muszę cię zawiadomić, że pakuję się i wyjeżdżam. O ile wiem, kursuje tu jakiś autobus. Powinam zdążyć.

- Nie możesz wyjechać - mruknął John. Wyglądał teraz jak żagiel, który zgubił wiatr.

- Dlaczego nie mogę? Przed chwilą Jill powiedziała mi, że pani Ballentine podpisała testament i cały majątek przekazuje Jill.

- Ona nie ma czego zapisywać - stwierdził John.

- Ona po prostu powiedziała mi, że pani Ballentine sporządziła testament i po jej śmierci cały majątek przechodzi w ręce Jill - spokojnie wyjaśniła Emma.

- Pani Ballentine może sporządzać tyle testamentów, ile tylko chce i to nie ma żadnego znaczenia - krzyknął John, - Możesz tym się zupełnie nie przejmować.

Dlaczego on mówi takim lodowatym tonem? - zastanawiała się Emma. Tak się zachowuje, jakby chciał mi urwać głowę. Dzięki Bogu, że nie kocham się w tym człowieku.

Można oszaleć od jego zmiennych nastrojów - raz jest gorący, a raz zimny jak lód.

- Co przez to rozumiesz? - zapytała. - Mam wrażenie, że ziemia i pieniądze są własnością pani Ballentine i ona może nimi dysponować. Ma prawo, zostawić majątek swojej córce i jeśli twierdzi, że jest nią Jill...

- Nic w Balleymore nie należy do pani Ballentine - wyjaśnił John. - Twój ojciec spłacił ją w dniu rozvodu. Zrzekła się wszelkich praw do Balleymore. Mieszka tu tylko dlatego, że kiedyś to był jej dom. Poza tym za nic w świecie nie uwierzę, że między nią a Jill istnieje jakiegokolwiek pokrewieństwo. Nie możesz wyjechać. Nie możesz - powtórzył zdecydowanie i odszedł, pozostawiając ją samotną na ławce.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Późnym popołudniem, po obiedzie, Emma weszła na górę do swojego pokoju i próbowała pisać książkę. Natchnienie jednak nie przychodziło. Myślała o scenie, którą zrobił jej John w ogrodzie. Odtwarzała w pamięci raz po raz wszystko, co wtedy powiedziała i co zrobiła.

W końcu przesiedziała przed swoim komputerem prawie dwie godziny i nic nie napisała. Zdegustowana, zaczęła przygotowywać się do snu. Wykąpała się, umyła zęby i włożyła nylonową piżamę w biało-niebieskie paseczki. Zaśmiała się do siebie. Miała dwie biało-niebieskie piżamy i dwie koszule nocne o takich samych kolorach. Kiedy przestała być zależna od skąpego budżetu domu dziecka, z radością kupowała ciuchy, na które miała ochotę.

Wygodnie wyciągnęła się w łóżku, sen jednak nie nadchodził. Oczy i ciało były gotowe do spania, ale mózg pracował na najwyższych obrotach. Dlaczego John tak się rozgniewał? Czy był zły dlatego, że Lukę ją pocałował? Skąd właściwie o tym wiedział? Nie był w domu na górze, więc nie mógł widzieć tego z okna. Podszedł dopiero później... Co takiego zrobiła?

Emma zawsze krytycznie analizowała swoje postępowanie, często męczyło ją poczucie winy. Jak wiele porzuconych dzieci, wierzyła, że rodzice zostawili ją, ponieważ zrobiła coś złego. Poczucie winy prześladowało ją przez wiele lat w wielu przeróżnych sytuacjach. Teraz też próbowała sobie wytłumaczyć, że nie zrobiła nic złego. Że może po prostu John był zmęczony i miał zły humor. Zachowanie innych ludzi nie musi być obiektywną reakcją na to, co zrobiła. Niestety, tłumaczyła sobie, ale nie potrafiła uwierzyć we własne argumenty. Co było w Johnie, że był taki pociągający? Przyciągał ją jak magnes.

Widziałam wielu mężczyzn przystojniejszych niż John, pomyślała. Choćby Lukę, jest dużo przystojniejszy. Widziałam

pana Welda, ich ojca, i nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Na twarzy pana Welda wyraźnie widać ślady pijaństwa i rozpusty. Jeśli Luke jest zaręczony z Jill, to dlaczego mnie podrywa?

Interesowało ją wszystko, co dotyczyło Johna. Imponowała jego troskliwość, rozważa, poczucie odpowiedzialności. To czyniłoby z niego fantastycznego męża i... ojca.

Przez całe życie szukałam kogoś takiego jak John, pomyślała Emma. I znalazłam, chociaż nienawidzi mnie i mojej rodziny. W końcu nie znam całej tej historii. Chcę być częścią jego życia - ważną częścią.

Nagle przeraźliwie donośny dźwięk syreny przerwał jej rozmyślenia. To przstraszyło ją tak bardzo, że wyskoczyła z łóżka jak z procy i czym prędzej włożyła szlafrok. Syrena jeszcze wyła, kiedy Emma znalazła się na korytarzu. Dźwięk wydawał się pochodzić z wnętrza domu. Jakiś alarm? Co to takiego?

Emma pragnęła, żeby John był teraz przy niej. Ale on i Luke smacznie spali na farmie Weldów. Emma mogła wyobrazić sobie dosłownie wszystko. Pożar, wojnę, wybuch bomby atomowej, najazd kosmitów... Zbiegła ze schodów. Wydało jej się, że ktoś jest na dole.

Na ostatnim schodku prawie zderzyła się z panią Macrae.

Gospodyni biegła w nocnej koszuli, nie zapiętym szlafroku, w śmiesznych papilotach.

- Co się stało, Mattie?

- Pani Macrae - dobiegło je z góry wołanie Harriety.

- Bardzo proszę się pośpieszyć.

- Idziemy! Idziemy! Co z nią?

Pokój chorej bardzo się zmienił, odkąd Emma widziała go rano. Cały medyczny sprzęt, jaki znajdował się w tym pokoju, został wyciągnięty. Harrieta najwyraźniej próbowała go użyć. Przede wszystkim starała się włożyć maskę tlenową na twarz pacjentki.

- Ona jest za silna na jedną osobę. Emma, przytrzymaj głowę. Podam tlen. Ona ma problem z oddychaniem. Potrzebuje natychmiast tlenu. Co założę maskę, to ona ją zrywa.

Emma stanęła z drugiej strony przy pacjentce, która mimo iż się szamotała, wyglądała na nieprzytomną.

- Pani Ballentine, pani Ballentine - powiedziała Emma łagodnie. - Spokojnie, bardzo proszę. Siostra ma tlen dla pani. To pani przyniesie ulgę. Proszę pozwolić.

Mówiąc tak Emma bardzo delikatnie przytrzymała głowę chorej. Siostra podała tlen i można powiedzieć, że oddech pacjentki wrócił do normy.

- Pani Macrae, proszę zadzwonić po doktora - powiedziała Harrieta tonem generała prowadzącego żołnierzy do walki.

- Proszę skorzystać z telefonu na górze. Nie traćmy czasu.

Po chwili usłyszały, jak Mattie wykręca numer doktora.

Emma sprzątnęła z podłogi garść wyrwanych włosów - to musiała być niezła szamotanina. Poprawiła szlafrok i spojrzała pytająco na Harrietę. Siostra była nieskazitelna jak zawsze: biały uniform i czepek.

- W czym mogę pomóc?

- Jak pani Macrae wróci, potrzebny mi będzie ktoś, kto zadzwoni po pana Welda i powie, że mamy tutaj kryzys - zakomenderowała pielęgniarka. - I niech pani potem zawiadomi Jill, niech przyjdzie do pomocy.

Harrieta, patrząc na zegarek, sprawdzała puls pacjentki.

- Cud byłby, gdyby przeżyła tę noc. Pani Macrae wróciła od telefonu.

- Zostawiłam wiadomość dla doktora Owensa. Nienawidzę tych automatów. Myślę, że doktor niedługo się zgłosi, choć, prawdę mówiąc, wolałabym porozmawiać z nim osobiście.

- Zadzwonię po Johna - mruknęła Emma.

Podeszła do biurka, na którym stał telefon. Wmontowany w aparat telefoniczny zegar wskazywał godzinę dziesiątą. Sądziła, że jest o wiele później.

- Halo - usłyszała głęboki głos Johna.

- Dzień dobry, tu Emma Ballentine. Harrieta bardzo prosi, żebyś przyszedł. Pani Ballentine ma kryzys. Czy możesz przyjść szybko?

- Już biegnę. Trzymaj się.

- Dziękuję, do zobaczenia.

Emma odłożyła słuchawkę. Tak, miałam rację, pomyślała. Przyjdzie tak szybko, jak tylko jest to możliwe. Na niego zawsze mogę liczyć. Jeżeli to nie jest miłość, to niech mnie diabli.

Zajrzała do pokoju chorej: Mattie i siostra były bardzo zajęte, chciały zadbać dosłownie o wszystko, pracowały obie jak dobrze naoliwione maszyny. Potem Emma przypomniała sobie, że Harrieta prosiła ją, by zajrzała do Jill. Mógł być potrzebny ktoś jeszcze do pomocy.

Zapukała do pokoju Jill, ale nikt nie odpowiedział. Dlaczego Jill nie przyszła do nich. Musiała przecież słyszeć syrenę, to było przeraźliwie głośne. Zapukała do Jill kilkakrotnie, znowu bez odpowiedzi. Podeszła do drzwi łączących wspólną łazienkę z pokojem Jill. Usłyszała szlochanie. Nacisnęła klamkę. Było otwarte.

- Jill? Czy wszystko w porządku? Twoja matka, pani Ballentine, jest bardzo chora...

- Nie! Nie! - żalosny szloch spod kołdry. - Ona umiera. Nie będę siedziała i patrzyła na to, jak ktoś umiera. Poza tym jestem głupia, mogłabym zabić ją, próbując pomóc.

- Jill, tu chodzi o twoją matkę. - Emma usiadła na brzegu łóżka, opierając rękę na ramieniu dziewczyny. - Nie chcesz być z nią choćby przez chwilę? To mogłoby bardzo dużo dla niej znaczyć.

- Nie! Nie! Nie prosź mnie, żebym szła i patrzyła, jak ona umiera! - histeryzowała Jill. - Powiedz im, że mnie tutaj nie ma. Po prostu zostaw mnie samą.

Emma musiała zostawić ją w ciemnym pokoju.

- W porządku - rzekła, wychodząc. - Rozumiem. Powiem, co chcesz. Nie musisz przychodzić.

Gdy przysłała do pokoju chorej, Harrieta spojrzała na nią z widoczną ulgą.

- Czy posiedzisz z panią Ballentine?

- Oczywiście.

- Dziękuję.

Emma usiadła na małym krzeselku przy łóżku. Słyszała świst tlenu, wsysanego przez ciężko pracujące płuca chorej. Ujęła w dłoń chudą, kościstą rękę pani Ballentine.

Było jej zał tej kobiety, która mogła być jej matką. Współczucie? A może to była miłość, podobne uczucie jak to, które miała dla Johna? Kobieta próbowała coś powiedzieć, ale jej głos był zbyt słaby, syk wydobywającego się z butli tlenu zagłuszał jej słowa. Emma przysunęła się bliżej chorej.

- Przepraszam cię, dziecko. Naprawdę tak mi przykro - powtarzała kobieta. - Przepraszam cię, dziecko.

- Wszystko w porządku, pani Ballentine - zapewniła Emma umierającą. - Wszystko w porządku.

Czas płynął bardzo wolno. Trzymała umierającą za rękę. Delikatna poświata wokół łóżka dawała złudne wrażenie oazy spokoju. Emma powoli oddalała się od chorej, uciekając na swój obłok marzeń.

John. Dlaczego on odwrócił się ode mnie? Co ja zrobiłam złego? Z całą pewnością nie zakochałam się w nim, powtarzała sobie twardo. A może? Przyjaźń? Tak. To przyjaźń, a nie miłość. Nie zakochuję się tak łatwo. Chociaż...

Gwar dochodzący z sąsiedniego pokoju przerwał jej rozmyślenia. Wszedł doktor. Od razu odsunęła się od chorej, ustępując mu miejsca. Poznała, że ten człowiek musi być lekarzem. Wyglądał na autokratywnego, małomiasteczkowego doktora, ubrany raczej ubogo, w luźny brązowy garnitur, ze śladami popiołu z papierosa na żółtym krawacie. Emma z ulgą zrzuciła na niego cały ciężar odpowiedzialności. Było już

późno. Dochodziła jedenasta. To dobrze, że przyszedł doktor i chciał się zająć panią Ballentine. Na tym polegała jego praca.

- W porządku, siostró - powiedział. - Teraz bardzo proszę, żeby wszyscy wyszli. Dziękuję za pomoc. Zostaję tu tylko ja, no i oczywiście siostra Harrieta.

Emma wstała od razu, gdy tylko doktor wszedł do pokoju. Wyszła teraz bez słowa. W sąsiednim pokoju siedziała Mattie. Obok stał John. Wyglądał dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała. Nie ogolony, w wymiętym ubraniu.

Trudno, żeby wyglądał jeszcze gorzej, pomyślała.

Sama nie wiedziała, jak to się stało, ale znalazła się w jego ramionach. Wiedziała, że potrafi uchronić ją przed złem. Wróciło poczucie bezpieczeństwa. Mogła się nie bać. John był przy niej. Poczula, że łzy płyną jej po policzkach. Nawet nie wiedziała, dlaczego płacze.

Ta kobieta jest moją matką, pomyślała. Nie, to bzdura. Nigdy nie była częścią mojego życia, a i na mnie niewiele zwracała uwagi. Nie przejmowała się mną ani trochę. To moja matka. Nieważne, czy myślała o mnie jak o swojej córce. Mój płacz nic jej teraz nie pomoże. A gdybym to ja umierała tutaj zupełnie samotna? Czy ktoś by po mnie płakał? Czy komuś by mnie brakowało?

Płakała, myśląc o umierającej kobiecie, a potem myśląc już tylko o własnej samotności.

- Płacz, Emma - powiedział John, trzymając ją w serdecznym uścisku. - Wyplacz wszystkie żale.

Wszyscy troje, Mattie, Emma i John, siedzieli w kuchni, milcząc i ziewając. Emma i Mattie w piżamach, Mattie w papilotach. John wyglądał jeszcze bardziej niechlujnie niż parę godzin temu. Ciemna szczecina na brodzie nie dodawała mu uroku. Zegar w korytarzu wybił godzinę trzecią. Przy dźwięku ostatniego uderzenia wszedł do kuchni doktor.

John spojrzął na niego pytająco.

- Przykro mi, ale wygląda to niedobrze - rzekł doktor. - Nic już się nie da zrobić. Ona prosi, żeby Emma przyszła do niej na górę.

Emma czuła, że każda komórka jej ciała buntuje się przeciw temu wezwaniu.

- Jej nie chodzi o mnie. Ona myśli o Jill.

- Nie - rzekł doktor łagodnie. - Ona chce z tobą rozmawiać. Proszę, idź do niej na górę.

Emma wstała. Spojrzała przez okno. Zza chmury przebijało się światło księżyca, rozjaśniając cienie. Próbowwała doprowadzić do ładu włosy. Poszła za doktorem na górę.

- Wejdz, Emma - szepnęła Harrieta. - Ona ciągle pyta o ciebie.

Emma westchnęła. Weszła do pokoju chorej. Pani Ballentine wyglądała prawie jak mumia z zapadniętą twarzą przykrytą maską tlenową. Jeszcze oddychała. Widoczne było, że sprawia jej to tmdność. Mimo to próbowała coś powiedzieć.

- Tu jestem, mammo.

Pani Ballentine wyciągnęła rękę, którą Emma chwyciła, zanim ręka zdążyła opaść na łóżko.

- Emma?

- Tak, mammo. Jestem tutaj.

Głos kobiety stał się silniejszy, wyraźniejszy.

- Gdzie jest Edward? - pytała o ojca Emmy.

- Ja... Ojciec jest w Nowym Jorku, mammo.

- Ale ty jesteś - przez chwilę było słycać tylko świst tlenu przepływającego z butli do chorych płuc. - Byłam taka głupia, moja mała Emmo. I ja, i Edward. Złe postąpiliśmy.

- To już przeszłość, nie kłopotz się tym, mammo.

- Byliśmy zbyt słabi. I ta głupia zazdrość...

- To nieważne, mammo.

- To ważne. Walczyliśmy ze sobą, ja i Edward, i zapomnieliśmy o tobie. Myślałam, że mogę bezkarnie bawić się życiem. Byłam głupia.

- Nikt nie jest doskonały.
- Wiesz, co odkryłam po powrocie z Paryża?
- Nie wiem.
- Że kocham twojego ojca. Czy myślisz, że on...
- Myślę, że on zawsze cię kochał, mamó.
- I ty... Emma... Czy mi wybaczysz?
- Oczywiście, mamó. Wszystko ci wybaczyłam.
- Doktor mówi, że jestem umierająca.
- Lekarze czasami się mylą.
- Nie tym razem. Chcę być pochowana z Edwardem. Czy możesz mi to obiecać.

Emmie w pierwszej chwili wydało się to zupełnie niemożliwe. Ojciec był pochowany w Nowym Jorku na Po-tters Field. Co powiedzieć matce? Prawda byłaby zbyt okrutna.

- Tak, mamó. Obiecuję.
- Nie powinniśmy byli wiązać się ze sobą. Ja i Edward. Każde z nas chciało sławy, sukcesów, myśleliśmy tylko o sobie. To go zabiło, że malowałam lepiej niż on.
- Nie frasuj się tym.

Łzy płynęły Emmie po policzkach. Umierająca zamknęła oczy. Potem otworzyła, ale już tylko na chwilę.

- Miłość - szepnęła pani Ballentine. - Porzuciłam was dla miłości, dla człowieka, który okazał się was niewart. Boże, jaka ja byłam głupia.

- Miłość - powtórzyła Emma.

Kobieta, która mogła być jej matką, zamknęła oczy. Emma nadal trzymała ją za rękę. Przygotowała się na długie czuwanie. W pokoju zrobiło się chłodno. Emmą wstrząsnął dreszcz.

Harrieta podeszła i zarzuciła jej ciepły koc na ramiona. Emma skinęła głową z wdzięcznością. Czas włókł się w nieskończoność. Bolały ją plecy, ścierpła ręka kurczowo ścisrana przez chorą. Matka jeszcze raz spróbowała otworzyć oczy. Słysząc było ciężki, charczący oddech.

Potem zapanowała cisza.

- Ona jest moją matką - szepnęła do siebie Emma. Harrieta sprawdziła puls chorej. Popatrzyła na Emmę ze współczuciem.

- Nie żyje.

Pielęgniarka delikatnie wyzwoliła dłoń Emmy spod leżącej teraz bezwładnie ręki zmarłej kobiety.

Doktor pochylił się nad chorą.

Zegar w korytarzu wybił godzinę. Była piąta nad ranem.

Emma z trudem wstała i ruszyła ku drzwiom. Przez całe życie marzyła, żeby odnaleźć rodziców. I kiedy ich znalazła, umarli.

Ale wolno mi płakać, pomyślała. Ona była moją matką. Zeszła na dół do kuchni. John i Mattie spojrzeli na nią pytająco.

- Umarła.

Niedługo potem przyłączył do nich doktor.

- Dzwoniłem do zakładu pogrzebowego. Wkrótce przybędą po ciało. Edna, czy mogłabyś zrobić mi kawę?

- Już, chwileczkę - zerwała się Mattie. - Może zjesz coś, Robercie?

- Tak, dziękuję. Spojrzał na Johna.

- Musisz skontaktować się z prawnikiem w sprawie aktu zgonu.

- Oczywiście.

- Co było przyczyną śmierci? - zapytała Emma.

- O, wszystko naraz. Chociaż bezpośrednią przyczyną zgonu było serce. Ale można powiedzieć, że i tak długo żyła ze wszystkimi swoimi problemami.

- Zrobię jajecznicę.

- Wspaniale, Mattie. Czy mogę pomóc? - Emma zerknęła w tym momencie na swoją rękę. Palce zsiniały od długotrwałego uścisku zmarłej.

- Jeśli chcesz pomóc, przynieś z lodówki sok pomarańczowy.

Emma poruszała się powoli jak robot. Chciała coś zrobić, zagłuszyć wszystkie myśli. Czuła się okropnie. Miała brudną, spoconą twarz i z pewnością potrzebowała szczopeczki do

zębów. Albo tego, żeby pogрузić się w wir pracy i o niczym nie myśleć.

Parę minut później jajecznicza była gotowa.

- Przepraszam, moja droga - doktor Owens spojrział na Emmę i uśmiechnął się. - Nie przedstawiłem się pani. Lepiej późno niż wcale. Jestem lekarzem. Robert Owens. A pani kim jest?

- To moja mała Emma, która wróciła do Balleymore - pośpiesznie wyjaśniła Mattie. - Pamiętasz Emmę, Robercie.

- Kopę lat - zaśmiał się doktor. - Leczyłem cię, jak byłaś zupełnie malutka. Czy nadal cierpisz na alergię? Bierzesz zastrzyki?

Ktoś zapukał do drzwi. To ludzie z zakładu pogrzebowego. Doktor podszedł do nich...

Niespodziewanie pojawił się również Luke. Musiał wracać z jakiejś nocnej zabawy. W beżowym garniturze, eleganckim aż do perfekcji, w modnej koszuli, pod krawatem. Było oczywiste, że balował całą noc gdzieś poza domem. I z pewnością wypił zbyt dużo.

- Hej, hej - zawołał. - Poproszę o kawę ze śmietanką, dwie łyżeczki cukru. Przejeżdżałem i zobaczyłem światło w oknach - wyjaśnił.

Powiódł wzrokiem po pokoju i zauważył skuloną na krześle Emmę.

- Zapraszam na przejażdżkę! Tutaj można umrzeć z nudów. Pokażę ci coś ładnego. Idź na górę, ubierz się i jedziemy. Gdybyś miała kłopot z ubieraniem, mogę pomóc. Mam dużą wprawę w ubieraniu kobiet - zaśmiał się rubasznie.

Wszystko odbywało się jak na zwolnionym filmie. Nikt się nie poruszył. Nagle John zerwał się z miejsca, podskoczył jak zranione dzikie zwierzę. Chwycił brata za kołnierz.

- Wynocha! I więcej mi się tu nie pokazuj!

Pchnął Luke'a w stronę drzwi.

- Zazdrościsz? I słusznie - bełkotał Luke. - Czy któraś kobieta wybierze takiego brzydala jak ty, kiedy może dostać takiego przystojnego jak ja?

Zanim skończył mówić, był już za drzwiami.

Mogę dostać takiego przystojnego jak Luke, pomyślała Emma. Jeżeli... będę głupia.

Była zmęczona. Powiedziała wszystkim dobranoc, pocałowała Mattie w policzek i poszła do swojego pokoju.

Ukłęka na dywaniku przy łóżku i pierwszy raz po wielu latach modliła się. Za duszę kobiety, która umarła tej nocy.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W domu było ciągle cicho, gdy Emma schodziła po schodach. Słysząc było jedynie zegar wybijający godzinę. Dziewięta rano. Emma była nadal zmęczona, ale nie mogła dłużej spać.

Zeszła do kuchni. Zaparzyła sobie kawy. Usiadła przy kuchennym stole. Bolesna była zarówno śmierć, której była świadkiem, jak i złość, którą John chciał jej pokazać. Czuli się przeraźliwie zmęczeni. Odnalazła matkę i straciła ją. Wiedziała, że los często postępuje nie fair, liczyła jednak na to, że będzie rozdzielał szczęście trochę bardziej sprawiedliwie. Całe jej dzieciństwo było rozpaczliwym czekaniem, aż któreś z rodziców przypomni sobie o niej. Potem ojciec przysłał jej list. Pojechała do Ballemore. Tu był John i tu mógł być jej dom.

John był odpowiedzialnym, silnym mężczyzną. Kobiety interesują się takimi facetami. Opiekun i dobry. I teraz są mógłby zdecydować, że Ballemore nie jest jej i John, jej wymarzony pan i władca, mógłby nie być po jej stronie.

Znacznie lepiej byłoby wygrać to wszystko od razu.

Szykowała sobie drugi kubek kawy, gdy Mattie weszła do kuchni. Przysiadła się do Emmy.

- Noc była wyczerpująca - westchnęła. - Nie poszłam do łóżka, zanim się wszystko nie uspokoiło. Och, tak koło szóstej rano. A co z tobą?

- Mniej więcej to samo. Zakładam, że zapach kawy zwabi jeszcze kogoś na dół.

John natychmiast udowodnił jej, że ma rację. Wszedł do kuchni i od razu ruszył w stronę ekspresu do kawy. Napełnił sobie kubek i usiadł przy paniach.

- Trzeba podjąć decyzję w niektórych sprawach - powiedział.

- W jakich sprawach?

- Zorganizowanie pogrzebu.

- O czym trzeba zdecydować?

- Ktoś powinien ustalić, gdzie i kiedy ma być pochowana.

- Czy zarządca nie może o tym zdecydować - zapytała Emma z nadzieją w głosie.

- Nie. Takie decyzje należą do rodziny. Jesteś jej córką. To twój obowiązek. Ale pomogę ci, jeśli będziesz potrzebowała.

Emma odetchnęła z ulgą. Może pomóc. Tym razem szczególnie będzie to potrzebne.

- Ona powiedziała, że chciałaby być pochowana z moim ojcem. On leży na Potters Field w Nowym Jorku. Boję się jednak, że to niemożliwe.

- To da się załatwić. Możemy zlecić przeniesienie jego ciała tutaj.

Wszystko, co Emma chciała zrobić w tym momencie, to przerzucenie ciężaru tych spraw na barki Johna. Z pewnością potrafił to załatwić znacznie lepiej niż ona.

- Kiedy zaczynamy? - zapytał.

- Pozwól, że przedtem wezmę prysznic i ubiorę się, a następnie podejmę jakąś decyzję.

- Proszę uprzejmie - powiedział. Niespodziewanie przyjął lodowaty ton głosu. Jakby nagle mu się przypomniało, że jej nienawidzi.

- Zanim pójde, wyjaśnij mi, co takiego zrobiłam, że jesteś na mnie wściekły. Jestem zbyt zmęczona, żeby bawić się w zgadywanki.

- Byłem pod wrażeniem - zaczął John niezwykle precyzyjnie.

- Sądzę, że wiesz, że Jill i Luke są zaręczeni...

- Oczywiście, że wiem.

- Więc dlaczego całowałaś się z narzeczonym Jill wczoraj po południu pod dębem?

Zazdrość? Więc o to chodziło! Prawie podskoczyła, tak ją to ucieszyło. Ale potem pomyślała... Jak on śmiał osądzać ją pochopnie, nie wysłuchawszy tego, co miała do powiedzenia.

- Gdzie byłeś, że tak dobrze wszystko widziałeś? - zapytała ze złością.

- Przy szosie w punkcie widokowym.

- Masz wyjątkowo dobry wzrok.

- Miałem w samochodzie lornetkę - rzekł z urażoną godnością.

- I z tą lornetką mogłeś stwierdzić, kto całował, a kto był całowany? - przerwała na chwilę. Gniew w niej rósł, eksplozja wydawała się niedaleka. - Twój brat mnie pocałował, nie ja jego. Weź pod uwagę, że jest on prawie tak silny jak ty. Nie miałam żadnej szansy, żeby mu się wyrwać. Ocenileś mnie pochopnie, nawet nie zapytawszy, jak było.

Powiedziawszy to Emma odwróciła się i chciała wyjść. Złapała ją za rękę, żeby temu zapobiec.

- Jeśli to prawda, pokornie proszę o wybaczenie - rzekł głosem tak lodowatym, że sople wydawałyby się przy tym gorące. Mattie aż drgnęła na dźwięk tego głosu.

- Cóż za głębokie i gorące przeprosiny - rzekła Emma ironicznie. - Słuchaj, ponieważ nie zamierzam się powtarzać. Twój brat pocałował mnie, a ja nie mam ochoty, żeby mu to weszło w zwyczaj. Cały ten pomysł pochodził od niego. On próbuje w ten sposób załatwiać sobie w życiu różne rzeczy. Proszę, uwierz mi! Ja nie prosiłam, żeby mnie całował! Ostatnie zdanie krzyknęła głośno.

- Nie sądzę, żebym lubiła ciebie, twojego brata i twojego ojca - dodała jeszcze i wyszła z pokoju.

- Co ja zrobiłem? - zapytał John.

- Czy jesteś usatysfakcjonowany tym, że obraziłeś porządną dziewczynę? - zdenerwowała się Mattie.

- Czy naprawdę tak myślisz, Edna?

- Mężczyźni! - prychnęła z pogardą gospodyni.

- Ale...

- Jesteś dobrym farmerem, John. Bardzo źle, że nigdy nie zajmowałeś się niczym innym. Czy kiedyś wreszcie przestaniesz okazywać jej swą niechęć?

- Ona jest Ballentine. Tylko my wiemy, jak bardzo...

- Dobrze - przerwała Edna. - Ja na twoim miejscu nie podejmowałabym pochopnych decyzji. Nie możesz nienawidzić córki z powodu jej rodziców. To miła dziewczyna. Poza tym ona jest moją małą Emmą. Sprawiasz mi przykrość, raniąc ją.

Emma weszła na górę. W łazience otarła twarz. Przez ścianę dobiegał płacz Jill. Nie łkała już tak rozpaczliwie.

Odkręciła prysznic. Woda była gorąca. Można było się zrelaksować. I potem pomyśleć o... O czym jeszcze? Próbowwała oczyścić swoją pamięć tak dobrze jak ciało. John pociągał ją. Nie wyobrażała sobie jednak przyszłości z kimś, kto osądzał pochopnie jej postępowanie i jednym ciosem mógł ją skazać na wieczne potępienie. I to tylko dlatego, że jej matka popełniła jakiś błąd wiele lat temu. Zaangażowanie się w ten związek oznaczałoby tylko złamane serce i ból. Marzyła o ślubie, różach i białej sukni. Można się uśmieć z takich marzeń.

Potem, czysta, sucha i upudrowana, uważnie przyglądała się wnętrzu swojej szafy. Co włożyć, żeby rozmawiać o pogrzebie? Wreszcie wybrała coś w brązie. Do tego jasno-pomarańczowy pasek. Skromny złoty łańcuszek na szyi i w uszach złote kolczyki. Kupiła sobie kiedyś tę biżuterię - sama sobie w prezencie.

John czekał na nią na dole przy schodach. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, jakby szukając defektów. Znowu poczuła, że nie wytrzyma i wybuchnie, i powie mu coś trochę mocniejszego. Przygryzła dolną wargę, to pomagało jej kontrolować emocje.

- W porządku? - zapytała.

- Tak. Ładnie wyglądasz.

- Nigdy nie organizowałam pogrzebów ani nawet na żadnym nie byłam - wyjaśniła. - Nie wiem, jak należy się zachować.

- Nie byłaś na pogrzebie ojca?

- Nie. Dowiedziałam, się o jego śmierci parę tygodni później. Pochowali go, zanim mnie znaleźli. Jedyne, co mi wtedy zostało, to posprzątanie pokoju, który wynajmował.

Poczuła, że pieką ją łzy. Niespodziewanie poczuła na twarzy dotyk chusteczki, którą John osuszał jej policzki.

- Dziękuję - rzekła głosem stłumionym przez chusteczkę. - Nie mam zwyczaju płakać i nie wiem, skąd taka reakcja.

- Ktoś powinien płakać po zmarłych - powiedział łagodnie John.

Wsiadła do dżipa. John prowadził sprawnie. Słońce dopiero wschodziło, ale wioska już dawno obudziła się do życia.

- To jest kościół metodystów, do którego należała zawsze rodzina Ballentine - powiedział John, naciskając na hamulec. - Wiem, że to nie jest łatwe - dodał, widząc jej niepewną minę - ale to powinno być zrobione. Pastorem jest tutaj bardzo sympatyczna kobieta. Nie martw się, będę przy tobie.

To ostatnie zdanie uspokoiło ją bardziej niż cokolwiek innego. Jeżeli John zamierza pójść z nią, będzie miała w nim oparcie. Takie uczucie, jakby się miało kamizelkę ratunkową. Można wpaść do wody, ale nauka pływania trwa zaledwie parę sekund i potem już nic nie zagraża.

Podjechali przed kościół. Zbudowany z drewna i kamienia. Na kamiennej płycie wryto rok 1802. To musiał być dobry rok dla kościoła metodystów, pomyślała Emma. Tam gdzie ostatnio mieszkała, nie było żadnych zabytków. Najstarszy dom pochodził sprzed dwudziestu pięciu lat i był bardzo zniszczony. Natomiast stary kościół wyglądał naprawdę imponująco.

Zobaczyła jakąś postać idącą ku nim. Zanim zdążyła zapytać, John powiedział:

- Dobrze, jest już nasza pani pastor, Barbara Hardy. - Nacisnął na klakson, wysiadając z dżipa, i kobieta odwróciła się do nich.

Barbara Hardy była szczupłą, siwą, o wnikliwym, inteligentnym spojrzeniu. Ubrana w lekko zniszczone żółte spodnie i wyblakłą niebieską koszulkę, na której widniały ślady jakichś napisów.

- Halo, John - zawołała. Jej głos brzmiał tak pięknie, że Emma pomyślała, że ludzie powinni dzwonić do niej i płacić za samo

sluchanie takiego głosu. Powinna ogłosić się w książce telefonicznej.

- Pastor Barbara Hardy - przedstawił panie John - Emma Ballentine. Pani Ballentine zmarła dziś w nocy - dodał. -Chcemy załatwić sprawy pogrzebowe.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia - powiedziała pani pastor. - Mam na imię Barbara i myślę, że możemy mówić sobie po imieniu. Chodźmy do mojego biura, żeby ustalić szczegóły.

Biuro mieściło się na pięterku. Przy biurku siedziała sekretarka, wprowadzając jakieś dane do komputera. Barbara wyjęła z półki grubą, wielką księgę.

- Wydaje mi się, że ród Ballentine ma tutaj wykupiony znaczny szmat ziemi przeznaczony na groby rodzinne, na pewno są jeszcze puste miejsca. Zaraz, zaraz - przerzuciła kilka kartek. - O, właśnie. Są jeszcze dwa. Czy chcecie, żeby pani Ballentine tutaj została pochowana?

- Tak - odparła Emma.

- Chcielibyśmy wykorzystać jeszcze to drugie miejsce dla ojca Emmy - dodał John. - On został pochowany w Nowym Jorku, ale chcielibyśmy przenieść tutaj jego ciało. Rozmawiałem już na ten temat z biurem cmentarza w Nowym Jorku.

Emma znowu była miło zaskoczona. Nic już nie musi robić, ani kontaktować się z cmentarzem na Potters Field, ani niczego nikomu wyjaśniać. John wszystko za nią załatwił. To był człowiek czynu. Był mężczyzną, którego mogła pokochać całym sercem.

- Nie będzie żadnego problemu - oświadczyła Barbara.

- Na kiedy ustalimy datę pogrzebu? - spojrzała pytająco na Emmę.

- Nie wiem - odparła Emma.

- Dzisiaj jest poniedziałek, myślę, że zgodnie z obyczajem środa byłaby odpowiednim dniem - zdecydował John.

- Czy to będzie możliwe?

- Tak - Barbara Hardy skinęła głową. - Środa rano, około dziesiątej? Może być?

- Dziękujemy bardzo - odważyła się powiedzieć Emma.

- Czy załatwiliście już przewiezienie ciała do domu pogrzebowego?

- Tak. To już załatwione - odparł John.

- Jestem tu pastorem od dwudziestu pięciu lat - powiedziała Barbara Hardy. - I nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłam w Balleymore - pani pastor spojrzała życzliwie na Emmę. - Jeszcze raz proszę przyjąć moje wyrazy współczucia.

- Bardzo dziękujemy za pomoc - odrzekła Emma, starając się powstrzymać łzy.

Co się dzieje? Ostatnio zbyt często zdarza jej się płakać.

- Kto zajmie się przygotowaniem jadła i napojów na stypę - zapytała Johna. - Nie sądzę, żebym mogła poprosić o to panią Macrae.

- Myślę, że można poprosić o to kogokolwiek, ale zwracanie się z tym do Edny byłoby wysoce nietaktowne. Po prostu pozwólmy jej wyrazić ból w taki sposób, w jaki zawsze to robi - John nieoczekiwanie zaśmiał się. - Kiedy Edna jest zdenerwowana, niezmiennie udaje się do kuchni i zaczyna gotować. Założę się, że gdy wrócimy do Balleymore, będą czekały na nas najrozmaitsze pyszności.

- Chcesz powiedzieć, że przygotowuje wszystkie problemy? - zaśmiała się Emma.

I naraz napotkała jego spojrzenie tak pełne nienawiści, że śmiech zamarł na jej wargach.

Środa była deszczowa, dżdżysta, mokra i wilgotna. Wymarzony dzień na pogrzeb. Emma słuchała ze wzruszeniem starych, tradycyjnych słów obrzędu. Gdy ostatnie słowa zostały wypowiedziane, Emma i Jill pierwsze złożyły kwiaty na trumnie.

Jill płakała rozpaczliwie przez całą ceremonię. Ubrana była w ściśle przylegającą do ciała, elegancką, czarną sukienkę. Czarny

welon i długie czarne rękawiczki wydawały się odrobinę zbyt ostentacyjne. Emma pomyślała jednak, że nie powinno się krytykować Jill w tym momencie. Luke prowadził

Jill z niezwykłą opiekuńczością do grobu, trzymając nad nią parasolkę. Pomógł jej położyć bukiet orchidei na ciemne, drewniane wieko i potem delikatnie prowadził ją pod rękę do samochodu.

Emma spokojnie pozwoliła Jill pierwszej złożyć kwiaty. Chyba nie była ubrana odpowiednio na tę uroczystość, ale miała tyle spraw do załatwienia, że po prostu zabrakło czasu na zakupy. Włożyła granatową garsonkę i prostą, kremową bluzkę bez kołnierzyka. John trzymał w ręku ogromny, czarny parasol, chroniący ich oboje przed deszczem. Położyła na wieku trumny najpiękniejsze pączki róż, wybrane na tę okazję przez Johna. A potem czekała na stosowną chwilę, by szepnąć do widzenia tej udręczonej kobiecie, która była jej matką. Dreszcz przebiegł ją po plecach. Wspomnienia o ojcu wydawały się zamglone i odległe. O matce zawsze będzie myślała jako o tej w ostatnim dniu życia. Tak, teraz naprawdę została sierotą. Przedtem mogła mieć nadzieję, że odnajdzie swoich rodziców. Teraz wiedziała, że już ich nie ma na świecie. Była wdzięczna Johnowi, że opiekuńczo otoczył ją ramieniem. To dawało tymczasowy komfort. Może pewnego dnia wybaczy jej, że była córką swojej matki.

Niewiele osób przyszło na pogrzeb. Był jeden człowiek, którego nie znała. Nie wyglądało na to, że przyszedł na pogrzeb. Spacerował wśród grobów Ballentine'ów i czytał nazwiska na kamieniach nagrobnych. Odpowiadał skinieniem głowy na powitania tym, którzy go znali. Nie wydawał się zainteresowany pogrzebem. Barbara Hardy prowadziła ceremonię, nie zwracając na niego większej uwagi. Emmę jednak zastanowiło to.

- Co to za człowiek? - zapytała Johna, gdy obecni zaczęli się już rozchodzić.

- Który?

- Ten nieduży mężczyzna z gęstą siwą czupryną przy tym grobie z aniołem.

Zanim John rozeznał się, o kogo pyta, mężczyzna podszedł do nich.

- Żebym wiedział, że zechce pan wziąć udział w pogrzebie - zwrócił się John do niego - przyjechałbym po pana.

- Dziękuję, ale mam znakomitego szofera - uśmiechnął się jegomość tajemniczo. - Myślę, że dość już tego stania na deszczu. Jedźmy do Balleymore. Dawno już tam nie byłem. I dawno nie kosztowałem smakołyków Edny.

- Emma - powiedział John. - To jest pan Hendricks. Prawnik rodziny Ballentine.

- Miło mi panią poznać - rzekł prawnik. - Podobna pani do matki, podobna. Te same oczy i włosy. Proszę przyjąć moje kondolencje. Pani matka była kiedyś najpiękniejszą dziewczyną w okolicy.

- Dziękuję, nie stójmy na deszczu - Emma wydobyła rękę z ciepłego uścisku. - Pojedzie pan razem z nami do Balleymore?

- Dziękuję bardzo, ale mam mojego płatnego kierowcę - zaśmiał się prawnik. - Michael! - zawołał. - Przygotuj samochód. Jedziemy do Balleymore.

- To pana krewny? - zapytała Emma, patrząc na Michaela, młodego, może dwudziestoletniego mężczyznę. - Bardzo podobny do pana.

- Tak - rzekł z dumą pan Hendricks. - To mój wnuk. .Studiuje w Bostonie. Szukał płatnej pracy wakacyjnej. Więc go zatrudniłem. Płacę mu, ale musi na to zarobić.

W Balleymore okazało się, że Edna przygotowała tyle jedzenia, że mogłaby żywić tym przez tydzień pół powiatu.

Dopilnuję, żeby każdy wziął ze sobą na drogę coś smacznego, pomyślała Emma.

Powód, dla którego odbyła się ta impreza, był wystarczająco przygnębiający, ale czuła dodatkowo, że coś jeszcze jej tu przeszkadza. O co chodziło?

- Napijesz się? - zapytał John.

- Cały czas piję kawę - powiedziała. - Ale tak, dziękuję. Jeszcze jeden kubek mi nie zaszkodzi.

Emma przyjrzała się gościom. Nikt nie wyglądał na specjalnie zmartwionego. To tego żalu brakowało w całej ceremonii. Głównie byli to ludzie związani z rodziną Ballentine i przyszli przede wszystkim z obowiązku. Byli też ludzie, którzy pracowali na farmie. Patrzyli na Johna z przyjaźnią i szacunkiem. On znał każdego z nich i wyglądało na to, że lubi ich wszystkich.

Jill i Luke siedzieli na sofie w rogu z głowami skierowanymi ku sobie. Luke popijał whisky, Jill rum z colą. Pan Hendricks rozmawiał z panią Macrae. Prawdopodobnie znali się od dawna. Doktor Owens i siostra Harrieta byli tak zmęczeni, że tylko napili się kawy, poczęstowali ciasteczkami i szybko wyszli.

- Następnym razem zostanę dłużej - tłumaczyła się pielęgniarka. - To wydaje się nie mieć końca.

Pracownicy farmy spoglądali z nadzieją na obie pretendenci do spadku. Czekali aż nowa dziedziczka powie im, jak wyglądają dalsze plany związane z farmą. Jedli ciasteczka, popijali kawą. Widać było, iż obawiają się, że zostaną wyrzuceni na bruk.

John odstawił kubek i podszedł do Emmy.

- Jak się czujesz?

- W porządku. Nie znałam jej. Ona nie знаła mnie. A jak powinnam się czuć?

- Nie wiem. Wyglądasz na zagubioną i smutną. Byłem niespokojny.

- Myślałam o tym, że nie było nikogo na pogrzebie, kto zmartwiłby się jej śmiercią.

- Zasłużyła sobie na to całym swoim życiem - odparł z powagą. - Wielu ludziom zrobiła krzywdę. Szczególnie tym, którzy byli od niej zależni.

Ale zrobiła to wszystko z miłości, pomyślała Emma. Pamiętała te ostatnie minuty, gdy matka spowiadała się przed nią ze spustoszenia, które uczyniła. Zdawała sobie sprawę, jak bardzo źle postąpiła. Emma zadrżała.

Co ze mną? - zapytała siebie. Czyżbym odziedziczyła skłonność do powtarzania błędów matki?

Strząsnęła z siebie tę myśl. Przeszłość była zamkniętą książką.

- Dlaczego oni przyszedli - spytała - skoro nikt jej nie kochał?

- Przyszli z powodu Ballentine'ów. Tradycyjnie darzą ten ród szacunkiem. Zawsze przychodzą na śluby i pogrzeby.

Jesse Fernandez podszedł do Johna. Był prawą ręką Johna, kierował pracami na farmie. Zamierzał wrócić do swoich zajęć. Jeszcze raz wyraził żal z powodu śmierci pani Ballentine. Potem zapytał, czy John ma dla niego może jakieś dodatkowe zlecenia.

- To smutny dzień, deszczowy i mało przyjemny - powiedział John. - Skończcie to, co zaplanowaliśmy na dzisiaj i idźcie do domu. Zobaczmy się jutro.

Mała grupka farmerów snuła się, jakby nie mogli znaleźć drzwi.

- Czy coś nie tak? - szepnęła Emma.

- Myślę, że chodzi o to, że jesteś nową właścicielką farmy - powiedział półgłosem. - Czy mogłabyś powiedzieć, że nic się nie zmieni i nie zostaną wyrzuceni na bruk?

Oczywiście, pomyślała.

- Nie będzie żadnych zmian - ogłosiła czystym, donośnym głosem. - Wszystko pozostanie po staremu. Nie ma powodów do obaw.

Pracownicy farmy uśmiechnęli się z ulgą. Podziękowali Emmie i wreszcie zaczęli się rozchodzić. Jill wstała z krzesła wściekła.

- Po co im to mówiłaś? - krzyknęła. - To moja sprawa.

- I co byś im powiedziała? - zwrócił się John do Jill. Ton jego głosu zniechęcił ją do dalszej dyskusji.

Jill i Luke czekali aż robotnicy odejdą.

- Najwyższy czas, żeby wszystko sobie wyjaśnić, skoro mamy tutaj pana Hendricksa - rzekł Luke nieprzyjemnym tonem.

- Czy ma pan do mnie jakąś sprawę? - zapytał prawnik łagodnie.

- Testament, oczywiście - odpowiedział arogancko Luke. - I chcieliśmy wiedzieć, kto odziedziczy posiadłość.

- O jaki testament chodzi? - zapytał prawnik niewinnie.

- Ten, który pani Ballentine zdążyła zrobić przed śmiercią - burknął Luke.

- Jeszcze nie widziałem tego dokumentu. Trzeba będzie sprawdzić jego autentyczność. Potrzebne będą inne dokumenty. Pani metryka urodzenia, akt zgonu pani ojca. Tego rodzaju rzeczy.

- Jak długo to może potrwać? - zapytał Luke, zanim Jill zdążyła zaprotestować.

- To zależy.

- Od czego? - nalegał Luke.

- Od zadłużenia posiadłości, określenia wartości majątku, tego rodzaju rzeczy...

- Tak - usłyszeli nagle donośny, choć nieco bełkotliwy głos. - Ona oddała mi wszystkie pieniądze. Za mało tego miała, cholerna baba...

Pan Weld, senior, podszedł do nich, i zaraz potem zachwiał się i runął jak długi na podłogę.

- Znowu staruszek sobie popił - zaśmiał się Luke. - John, ty jesteś starszym bratem. Musisz zawieźć go do domu. Mnie to nic nie obchodzi. To twoja sprawa.

- Zadzwoń i poproszę, żeby przyjechano po niego - zwrócił się John do Emmy.

Skierował się w stronę stojącego na korytarzu aparatu telefonicznego.

- Pójdę z tobą - poprosiła Emma. - Przykro mi, ale boję się twojego ojca. Nie chcę zostawać z nim sama w pokoju.

Podeszli do telefonu. John kilka razy wykręcał numer. Nikt nie odbierał.

Odłożył słuchawkę.

- Wygląda na to, że sam muszę go zawieźć - mruknął John. - Ale zanim pojedę, mam jeszcze jedną rzecz do zrobienia - powiedział z uśmiechem.

I zanim Emma zdążyła zapytać, o czym myśli, wziął ją w ramiona i pocałował. To nie był dla Emmy pierwszy pocałunek w życiu. Czowała jednak, że czegoś takiego nie doznała jeszcze nigdy. Miała wrażenie, że czegóż takiego nie doznała jeszcze nigdy. Czowała jednak, że czegóż takiego nie doznała jeszcze nigdy. Miała wrażenie, że czegóż takiego nie doznała jeszcze nigdy. Czowała jednak, że czegóż takiego nie doznała jeszcze nigdy.

- To mile, że potrafię tak czuć - mruknął John chwilę później. I zaraz potem zwrócił się do Emmy: - Musimy wracać do wszystkich, bo zaczną nas szukać.

Podążyła za nim do salonu. Potrafi tak czuć? Co on miał na myśli? O co mu chodziło?

Podczas ich nieobecności nic się nie zmieniło. Jakby czas stanął w miejscu. Luke nadal czuwał nad Jill jak kwoka nad drogocennym jajem. Prawnik rozmawiał z panią Macrae. Pan

Weld już zdążył podnieść się z ziemi i stał, opierając się o barenk.

Pani Macrae spojrzała na Emmę i zaśmiała się.

- Zobacz, jak marnuję czas. W kuchni nie posprzątane. Pora już myśleć o kolacji. A ja tu sobie gadam. Czy zostanie pan u nas na kolację? - zwróciła się do prawnika.

- Nie mogę, niestety. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia. - Żal w głosie pana Hendricksa był szczery. Prawnik wysoko cenił przysmaki pani Macrae.

Arthur Hendricks począł szykować się do wyjścia.

- Jeżeli pani jest jedyną spadkobierczynią... - zaczął jeszcze coś mówić do Jill.

- Jest również Emma - przerwał mu John.

- Dbasz o swoje sprawy, jak widzę - wtrącił ironicznie Luke.

- Jakie moje sprawy? Nie ja dziedziczę i nic z tego nie mam - obruszył się John.

- Takie tam gadanie. Jak to nic z tego nie masz? Pilnujesz Emmy, bo myślisz, że jeśli ona odziedziczy, to będziesz mógł odkupić od niej po niższej cenie. Ale nie tak łatwo, braciszku. Poinformowałem już Emmę, co ty knujesz. Powiedziałem jej, że nienawidzisz wszystkich Ballentine'ów i zależy ci tylko na tanim odkupieniu ziemi. Starasz się, braciszku, starasz się, ja wszystko widzę. Całowałaś ją teraz i myślisz, że wygrałeś sprawę. Przegrasz, ale się nie martw. Będę litościwy dla maluczkich i ubogich, odpalę ci trochę grosza na pociechę - Luke gadał głupstwa jak nakręcony. - Bo ja wygram tę sprawę. Emma zgodziła się, żebym został jej agentem i pomogę jej w sprzedaniu farmy. Zawarliśmy umowę. Oczywiście nie tobie sprzedamy ziemię, tylko firmie budowlanej. Oferują za to całkiem niezłą forszę.

- Nigdy nic takiego nie mówiłam - oburzyła się Emma.

- Nigdy nie obiecywałam, że będziesz moim agentem, I nie mam zamiaru sprzedawać farmy. Nikomu!

Przy ostatnich słowach rzuciła na Johna rozwścieczone spojrzenie. To prawda, on nienawidzi Ballentine'ów. A już zdążyła się nabrać na ten pocałunek.

Jill gapiała się na Luke'a szeroko otwartymi oczami. O czym on mówi? Jaka umowa z Emmą?

John pierwszy przerwał kłopotliwe milczenie. Podeszedł do barku, wziął ojca pod ramię i spokojnie wyprowadził go do dzipa. Starszy człowiek ciągle jeszcze coś mamrotał o sekretach rodzinnych i o długach.

Arthur Hendricks także ruszył do drzwi.

- Proszę poczekać - zawołała Jill. - Co będzie z testamentem?

- Założmy, że ma pani ten testament - powiedział prawnik. - Proszę w takim razie dostarczyć mi testament i wszystkie

dokumenty, o których wspominałem. Potrzebuję paru dni na przejrzenie dokumentów i przygotowanie sprawy do sądu.

- Kilku dni? Do sądu? Pani Ballentine nie chciałaby na pewno, żebyśmy tak długo musieli czekać.

- Nic pani nie rozumie - stwierdził prawnik. - Sprawa nie jest prosta. A pani Ballentine ma teraz dużo czasu i z pewnością nigdzie się nie śpieszy.

- Potrzebuję pieniędzy - powiedziała Jill ze złością. Prawnik wzruszył ramionami.

- Może uda się pani dostać pożyczkę na konto tego testamentu. Gdy jednak okaże się, że nie jest pani prawowitą dziedziczką, trzeba będzie wszystko oddać, co do grosza.

Emma miała jeszcze kilka pytań do Johna, ale było już za późno. Usłyszała warkot silnika. Dżip powoli oddalał się. Dlaczego właściwie John ją pocałował? Czy z jakichś nie wytłumaczonych powodów przestał jej nienawidzić? Bard/o chciała w to uwierzyć.

Jill i Luke stali w rogu pokoju i naradzali się nad czymś przyciszonym tonem. Emma podeszła do pani Macrae.

- Dobranoc - powiedział pan Hendricks i tym razem wyszedł naprawdę.

- Spójrz na Arthura - szepnęła Mattie do Emmy. - Jaką mu to sprawa przyjemność. Lubi namieszać, oj lubi. Nadal świetny, z niego prawnik, chociaż staruszek. Chodź do kuchni, Emma - dodała. - Na pewno masz ochotę na filiżankę kawy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przez całą drogę powrotną John zadawał sobie pytanie, co zrobił złego. Pocałował ją, ponieważ wydało mu się rzeczą właściwą to zrobić. I chyba nie miała nic przeciwko temu. Ale potem... Zareagowała jak dziki tygrys. Przecież wtedy zapomniał o swojej nienawiści do Ballentine'ow i tylko był świadom uroku Emmy, jej czaru i wdzięku. Była smutna, chciał ją pocieszyć... Coś złego stało się potem. Chyba nie uwierzyła Luke'owi. A może? Ostatnia rzecz, o której myślał, to zainteresowanie się Emmą z powodu Balleymore. Miał dość roboty przy swojej własnej farmie. Patrzył w przyszłość realnie, oczekując, iż pewnego dnia zwróci farmę prawowitej dziedzicze. Nie zamierzał potem wchodzić Emmie w drogę, chyba że chciałaby sprzedać farmę firmie budowlanej. Ale, o ile było mu wiadomo, nie miała takiego zamiaru. Luke jej agentem? Skąd mu to przyszło do głowy? Nic dziwnego, że się zdenerwowała. John pomyślał, że przecież polubił Emmę niezależnie od tego, czy odziedziczy farmę, czy nie. Chciał być odpowiedzialnym wobec Emmy Ballentine i naprawdę nie chodziło mu o jej pieniądze.

Emma Ballentine? Wysoka i piękna, pomyślał. Delikatna i dbająca o innych. Przyjemnie być blisko niej. Dobrze przylega do moich ramion. Delikatna skóra. Wspaniała figura.

Szczęśliwie dla niego nie było dużego ruchu na wąskiej drodze prowadzącej do jego domu. Cała jego uwaga pochłonięta była rozmyślaniami o Emmie, i ani trochę nie przejmował się sytuacją na drodze. Ojciec był pijany do nieprzytomności. Johnowi to odpowiadało, nie przeszkadza! w prowadzeniu auta ani w rozmyślaniach.

John miał bardzo silne poczucie odpowiedzialności. Był urodzonym farmerem. Kochał tę robotę. Kochał patrzeć, jak zboże dojrzewa. Zbierać plony. Hodować kwiaty. Za pieniądze, które odziedziczył po dziadku, odkupił farmę od wierzycieli.

Pracował bardzo ciężko, ale w tej chwili farma była niemal kopalnią złota.

Ojciec czuł, że należy mu się coś od życia. Dużo mu się należy. John starał się utrzymać farmę i nie wchodzić mu w drogę. Czasami to się udawało. Ale w jaki sposób mogłby doprowadzić do zgody między ojcem i Emmą? To wydawało się niemożliwe. Czy jeśli ona nie znosi jego ojca, to i jego nie potrafiłaby polubić?

Zatrzymał dżipa przed domem. Na szczęście jego pomocnik, Jesse Fernandez, był w pobliżu.

- Pomóż mi zanieść go do łóżka - poprosił. Potem próbował zwalczyć trudne myśli ciężką pracą.

O siódmej wieczorem John był przeraźliwie zmęczony, wyczerpany pracą. Czuł, że ma swoje trzydzieści sześć lat, że jest stary i zmęczony. Niektóre z tych lat mogły należeć do kogoś innego. To był długi dzień. Usiadł i próbował odpocząć.

Wziął piwo i poszedł na werandę z tyłu domu. Nie widział Luke'a od rana, ale nie martwił się o niego. Miał inne plany. Przyniósł na werandę telefon i wykręcił numer Balleymore.

- Halo, Edna? Czy mogłabyś poprosić Emmę?

- Poczekaj chwilę, poszukam jej.

- Jutro wybieram się do hurtowni w Deerfield - powiedział, gdy podeszła do telefonu. - Może zechciałabyś pojechać ze mną?

- Dlaczego miałabym gdzieś z tobą jechać? - zapytała podejrzliwie. - Czy to część twoich działań zmierzających do wejścia w posiadanie Balleymore? A jeżeli okaże się, że to nie ja odziedziczę posiadłość? Stracisz czas na próżno.

- Emma - poprosił. - Nie wierz w te bzdury, które wygaduje mój brat. Jadę do miasta do hurtowni. Pomyślałem sobie, że może chciałabyś zobaczyć Deerfield. Nie musisz cały czas siedzieć w domu.

- Przepraszam - trochę się zawstydzila. - Moje nerwy są zszarpane ostatnimi wydarzeniami. Owszem, chętnie zwiedzę okolicę. Na którą się umówimy?

Ustalili godzinę i pożegnali się. John miał chęć na dłuższą rozmowę, ale słyszał zdenerwowanie w jej głosie. Jak powinien postępować, żeby mu wreszcie zaufała? Powoli i łagodnie - odpowiedział sobie na pytanie. To mógł być pierwszy krok.

Emma odłożyła słuchawkę, ale nadal siedziała przy telefonie pograżona w myślach. John Weld z pewnością nie był jej obojętny. Czasami była przeświadczona, że jemu chodziło tylko o Balleymore. To znaczy, jeżeli ona była tą właściwą Emmą. Przechodził od nienawiści do... pocałunku. Marzyła o tym, by topniało jej ciało w żarze jego ramion. Co było w tym mężczyźnie, że tak bardzo ją interesował?

- Co się stało? - zapytała Jill, która właśnie przechodziła korytarzem. W głosie jej brzmiała prawdziwa troska, ale Emma nie była skłonna dzielić się swoimi problemami. Zbyt długo była porzuconym dzieckiem. Nauczyła się trzymać swe uczucia dla siebie.

- Nic. Myślę właśnie o mojej następnej książce.

- O czym piszesz?

- Tajemnicze morderstwo. Zamierzam zabić pięć lub dziesięć osób, tutaj w Balleymore.

Jill nie wyglądała na zainteresowaną.

- Sprzedajesz dużo książek?

- Jak twierdzi mój wydawca, podobają się czytelnikom. Trzy moje poprzednie książki zostały wciągnięte na listę bestsellerów. To dobra reklama.

- Och, chciałabym być bogata i wydawać pieniądze na wszystko, na co mam ochotę. Pytałam, czy możesz na tym dużo zarobić - ciągnęła - bo polubiłam cię. Zawsze byłam biedna i wiem, jakie to nieprzyjemne.

- Bardzo miło z twojej strony - Emmie udało się zachować niewzruszoną minę. - Co zamierzasz zrobić, jeśli odziedziczysz Balleymore?

- Od razu sprzedam farmę pośrednikom, tak drogo jak się da - wyjaśniła Jill. - A potem pojedę na Riviere. To jest we Francji, wiesz? Cudownie! Ja i Luke na Rivierze! On się ze mną ożeni. Tylko muszę zastrzec, że wszystkie pieniądze są moje. Bo jak Luke dobierze się do nich, to nic mi nie zostanie i on potem mnie zostawi. A tak zawsze będzie ode mnie zależny i cały czas będę go miała. To są dwa moje wielkie marzenia - mówiła Jill. - Chcę mieć Luke'a i pieniądze. To musi się udać. Nie stój na mojej drodze i nie daj się omamić Luke'owi - skończyła nieoczekiwanie.

- Słucham? - zdziwiła się Emma. Przecież Jill nie wiedziała o poczynaniach Luke'a względem Emmy.

- Nie sądz, że nie wiem, że Luke próbuje grać na oba fronty. Nie wchodź nam w drogę. On jest cholernie przystojny, ale on jest mój.

- Proszę, uwierz mi, że on naprawdę jest twój i nie zamierzam wam przeszkadzać.

- To dobrze. Lubię cię i podłe by było, gdybym musiała cię zranić, ale sama rozumiesz.

Och, rozumiem, pomyślała Emma. Ręce precz od Luke'a. Dobrze, moja droga, on jest twój. Chociaż nie rozumiem, dlaczego chcesz być z nim. Szczególnie kiedy nie ufasz mu ani trochę bardziej niż ja. Ale to mi będzie pasować do książki! - ucieszyła się nagle.

Tej nocy będąc dobrze spała, postanowiła sobie. Nie całkiem jej się to jednak udało.

Kiedy Emma wstała następnego poranka, zobaczyła, że dzień jest piękny. Słoneczny i upalny. Trudno, żeby się nie ucieszyć. Będą razem! Mogła nie ufać mu ani trochę bardziej niż Jill ufała Luke'owi, ale było cudownie mieć go blisko. Pomyślała, że w

gruncie rzeczy ona i Jill są bardzo do siebie podobne. Prawie jak siostry.

- Dzień dobry, Mattie - zaśpiewała, gdy wchodziła do kuchni.

- Co na śniadanie? W czym mogę pomóc?

- Dziękuję, poradzę sobie - uśmiechnęła się Mattie. - Jesteśmy tylko we dwie. Jill poszła gdzieś z Lukiem na noc i jeszcze nie wrócili. Mam nadzieję, że dobrze się bawią.

- Co się stało? - zapytała Emma, koncentrując się nie na treści tego, co Mattie mówiła, ale na goryczy w jej głosie. Mattie była jej sprzymierzeńcem od samego początku. Odkąd przybyła do Balleymore. Była jedynym dobrym przyjacielem, jakiego Emma kiedykolwiek miała i z pewnością umiała to docenić.

- Nic takiego - odparła Mattie. - Nie ma powodu do żmartwień. Wiesz co? - zmieniła temat. - Zrobiłam wafelki belgijskie z truskawkami. Co na to powiesz?

- Kocham wafle belgijskie. Już siadam do stołu.

- Nie jest dobrze - mruknęła starsza pani. - Ale powiedz, co planujesz na dzisiaj?

- Mam zamiar pojechać z Johnem do Deerfield. Musi być tam w hurtowni kwiatów i chce mi pokazać miasto. Przeczytałam kilka książek o Deerfield, o wojnie króla Filipa i o napadach Indian. Cieszę się, że mnie tam zabierze.

- Dobrze, że pogodziliście się z Johnem.

- Nie jestem pewna. To raczej zawieszenie broni. Ale bardzo bym chciała pojechać z nim do Deerfield.

- Myślę, że będzie to dla ciebie miły dzień. John to naprawdę dobry człowiek.

- Mattie - rzekła Emma ze wzruszeniem w głosie. - Możliwe, że nie jestem prawdziwą Emmą, ale chcę, żebyś wiedziała, że zawsze jest dla ciebie miejsce w moim sercu i w moim domu. Nawet jeśli nie będę z Johnem.

- Kochana jesteś - łzy zakręciły się w oczach Mattie. - Ale ty jesteś moją małą Emmą. Jedyne, co trzeba, to przekonać o tym wszystkich. Wtedy odziedziczysz posiadłość Ballentine'ów.

Wołałoby o pomstę do nieba, gdyby w Balleymore nie było nikogo z twojej rodziny.

Właśnie w tym momencie John wszedł do kuchni. Serce Emmy podskoczyło na jego widok. Był taki męski. Żeby tylko powiedział teraz coś miłego. Na przykład: Emma, pobierzmy się.

Zamiast tego popatrzył na stół, na resztki śniadania na talerzach i spytał:

- Nie masz więcej tych wafli, Edna? Umieram z głodu.

- Przestali cię karmić w twoim domu? - zapytała Emma z rozczarowaniem w głosie.

- Jadłem dzisiaj śniadanie - zaczął się tłumaczyć. - To było jednak kilka godzin temu. Miałem w polu moc roboty... A poza tym wafle belgijskie robione przez Mattie są prawdziwym cudem kulinarnym.

Mattie podała mu talerz z olbrzymim waflem i mruzczała coś pod nosem o niegadaniu takich głupot. Talerz naprawdę wyglądał artystycznie. Złotobrazowe wafle, czerwień truskawek, krem biały jak śnieg. Gdyby Emma nie była najedzona po uszy, poprosiłaby o jeszcze.

- Dziękuję - John uśmiechnął się do Mattie i chwycił widelec.

- Pamiętaj, Edna, że gdyby znudziło ci się mieszkanie tutaj, z przyjemnością zaproszę cię do siebie.

Emma roześmiała się. On nie był, szczerze mówiąc, najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego знаła. Ale był atrakcyjny. Cholernie atrakcyjny.

- Chyba możemy wychodzić - powiedział. - Emma, czy już jesteś gotowa?

- Wezmę kapelusz i słoneczne okulary - gwałtownie wstała od stołu. Chciała uciec przed jego badawczym spojrzeniem.

- Słuchaj, John - powiedziała Mattie, gdy patrzyli na odchodzącą Emmę. - Ta dziewczyna jest moją Emmą. Musisz o tym pamiętać. Bądź dla niej miły. Nie zaznała w życiu wiele dobrego. To wspaniała dziewczyna i zasłużyła na to, żeby była

szczęśliwa. Istnieje sposób, żeby udowodnić prawnikom i wszystkim, że to prawdziwa córka Ballentine'ów.

- Ja też sądzę, że to jest prawdziwa Emma. Mam nadzieję, że papiery, które z sobą przywiozła, okażą się autentyczne. Musimy jednak poczekać na wyrok sądu.

Emma schodziła właśnie ze schodów z kapeluszem i okularami słonecznymi, gdy drzwi się otworzyły i weszli do domu Jill i Luke.

- Było fantastycznie - mówiła Jill. - Spotkaliśmy ludzi. Odpowiednich ludzi. Oni pojedą z nami na Riviere. Nieprawdaz, kochanie?

Luke przytaknął, śmiejąc się.

- Jesteś tak pijany jak ona? - zapytał John brata.

- Nikt nie może być aż tak pijany jak ona - bełkota! Luke.

- Ona bardzo źle znosi alkohol. Co za problem? My jesteśmy dorośli. I nie zabawiaj się mi tu w starszego brata. My jesteśmy dorośli.

- Chyba będę wymiotować - szepnęła nagle Jill. Twarz jej przybrała kolor zielony.

Pani Macrae podeszła do niej i szybko wyprowadziła ją do łazienki na parterze.

- Ta dziewczyna - bełkotał Luke - nie powinna pić tak dużo.

- W takim razie, dlaczego pozwoliłeś jej na to? - spytała Emma ze złością.

- Czemu nie? To moja narzeczona, a nie twoja. Ty powinnaś też kiedyś ze mną pojechać - rzucił Emmie lubieżne spojrzenie.

- Powinnaś zabawić się ze mną. Johnny-braciszek niechaj sływa. Jemu tylko chodzi o Balleymore. On wie, że ja stawiam na Jill, a on stawia na ciebie. Ale ty możesz wygrać

- bełkotał. - Ja chcę mieć dla siebie wszystkie szanse.

Emma poczuła, że cierpiej jej skóra. Luke był w kosztownym garniturze od Armaniego i porządnej jedwabnej koszuli, jednak jego wyraz twarzy był przerażający. Postąpiła krok w kierunku Johna.

- Daj spokój - rzekł John. - Zastanów się lepiej, jak się dostaniesz do domu.

- Mogę prowadzić - powiedział butnie Luke - nie jestem aż tak pijany, żebym nie mógł. Potrzebuję tylko trochę szmalu na nowy reflektor i na naprawę zderzaka. Nieco się zepsuły.

- Nie pozwolę, żebyś sam jechał. - W głosie Johna brzmiało takie zdecydowanie, że Luke spojrział na niego zmieszany. - Przykro mi - zwrócił się John do Emmy. - Nie będziemy mogli pojechać razem do Deerfield. Muszę go zawieźć do domu. Jeśli go tak zostawię, nieszczęście gotowe.

- Ja jednak bardzo chcę pojechać do Deerfield - Emma szybko przemyślała sprawę. - On może zostać w Balleymore. Tu jest kilka pokoi wolnych, a nawet jeden zamykany na klucz.

- Nie chciałbym, żeby tu komuś sprawiał kłopot.

- Proszę, to nie jest zły pomysł. Naprawdę marzyłam o tej wycieczce.

- Zgoda.

Odwrócili się, by spojrzeć na Luke'a. Siedział na dolnym stopniu schodów i spał. Wydawało się niemożliwe, żeby go podnieść, ale John sobie poradził. Zarzucił go sobie na plecy i wniósł na górę jak piórko. Był niesamowicie silny. Emma podążyła za nim, żeby w razie czego pomóc. Położyli go na łóżku w pokoju, w którym jeszcze niedawno mieszkała pani Ballentine. Gdy wychodzili z pokoju, Luke coś tam mruczał do siebie. Emma nie była pewna, czy dobrze zrozumiała jego słowa. Zamknęli drzwi. Na korytarzu spotkali panią Macrae.

- Zaprowadziłam Jill do jej pokoju, do łóżka. Bawcie się dobrze, moi drodzy. Życzę miłej wycieczki. O tych dwoje nie martwcie się, ja ich dopilnuję.

- Poradzisz sobie?

- Oczywiście! Szerokiej drogi, kochani.

John chwycił Emmę za rękę i pociągnął w dół po schodach. Wsiedli do dżipa. Dzień był piękny, słoneczny. Emma odetchnęła z ulgą i uśmiechnęła się szeroko.

- Jesteś zadowolona?

- Przepiękny dzień. Słońce śmieje się do nas. Czuję się, jakbym miała dom. Tak, jestem zadowolona.

- To dobrze - rzekł John po krótkiej ciszy. - Jedźmy już, zanim znowu coś nam przeszkodzi.

Podróż minęła szybko. Emma wyglądała przez okno, obserwując okolicę. Z Bostonu jechała do Balleymore autostradą. Boczne, małe drogi, które wybierał John, miały na pewno więcej uroku. Rozumiała teraz, dlaczego biali najeźdźcy i Indianie walczyli o tę ziemię. Ballentine'owie też brali udział w tych walkach.

Mam nadzieję, że postępowali sprawiedliwie i unikali okrucieństwa, pomyślała. To moja rodzina i chciałabym być z niej dumna. I tak zamierzam upierać się przy tym pokrewieństwie, niezależnie od tego, co ustalą w sądzie. Bardzo mi się podoba należenie do znanej, starej rodziny.

Zachichotała. Może by właśnie o tym napisać książkę?

Dotarli do Deerfield około jedenastej. John zatrzymał dżipa i zwrócił się do Emmy:

- Czy chciałabyś najpierw coś zjeść? Czy od razu pójdziemy do hurtowni?

- Po takim sytym śniadaniu? - zaśmiała się Emma. - Ani trochę nie jestem głodna.

- Jak najpiękniejsza róża - mruknął John.

- Co mówisz? - zdziwiła się Emma.

- Nic. Coś tam do własnych myśli. Nieważne.

W hurtowni załatwili wszystko, zgodnie z opinią Johna, w rekordowym tempie.

- Być może nie było to długo - skomentowała Emma.

- Jednak dla mnie to ci ludzie guzdrali się okropnie. Sądzę, że dla ludzi, którzy mają cierpliwość czekać, aż zboże dojrzeje, to faktycznie było szybko.

- Podśmiewasz się z farmerów. To nieładnie - oburzył się John. Ale widać było, że żartuje. - Uważaj, złożę na ciebie

skargę, że zniesławiasz farmerów. Czy może teraz chciałabyś coś zjeść? - dodał.

- Owszem, zgłodniałam okropnie - przyznała Emma.

- Ale... było tyle zamieszania, gdy wychodziliśmy, że zupełnie zapomniałam o pieniądzach.

- Przecież to ja cię zapraszałem.

- To trochę więcej niż obowiązki kierowcy - stwierdziła Emma.

- Jestem czymś więcej niż kierowcą - rzekł poważnie John. - Zapraszam cię na obiad. Jest tu niedaleko restauracja. Tyle razy stołowałam się u ciebie w Balleymore, myślę, że najwyższy czas, żebym ja teraz mógł zaprosić ciebie.

- Czy to pierwszy krok w celu zdobycia farmy Balleymore? Nakarmić dziewczynę i potem... - zażartowała, ale szybko umilkła. John miał poważną minę. Zbyt poważną.

- Okropność z tymi kobietami - jęknął. - Nigdy w życiu nic takiego nie przyszło mi do głowy.

- To uśmiechnij się wreszcie. Czy ty wcale nie masz poczucia humoru?

- Polecam wspaniały obiad - powiedział John po dłuższej chwili.

- To brzmi interesująco. Mam nadzieję, że będziesz dla mnie miły.

Wsiadli do samochodu. Dżip pachniał ziemią, nawozami sztucznymi, nasionami. Emma uchyliła okno. Odjechali z parkingu przy hurtowni. Minęli chyba cztery przecznice, gdy pojawił się ogromny neon z napisem: Monty, restauracja, najlepsze w świecie hamburgery.

- Czy odważymy się tam wejść? - zapytał John.

- Prowadź, wodzu!

- Czyżbyś pomyliła mnie z generałem Ballentine? - zaśmiał się John.

Spojrzał na nią i nagle poczuł silny napływ wspomnień. Ten pocałunek w korytarzu. To było niezwykle. Smak jej warg. Czy to możliwe, że czuł wtedy aż tak bardzo...

Pochylił się i znowu dotknął ustami jej warg. Delikatny pocałunek, pełen obietnic i nadziei. Emma przytknęła oczy.

Jak on szybko zmieniał nastroje. Przechodził od nienawiści do... miłości.

Nie, przecież on mnie nie kocha, pomyślała. Jemu chodzi tylko o Balleymore. Otworzyła oczy.

- Chodźmy na górę - powiedziała zmienionym głosem. - Widzę, że są tam wolne miejsca.

- Chodźmy - rzekł John. I zupełnie nie wiedział, dlaczego Emma jest zła na niego. Znowu coś nie tak?

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Dzięki za piękny dzień. To była wspaniała wycieczka - szepnęła Emma.

- Cieszę się, że ci się podobało. Pani Macrae kazała mi dbać o ciebie, żebyś była zadowolona. Mówiła, że należy ci się choć jeden piękny dzień. Mam nadzieję, że spełniłem jej oczekiwania.

- Oczywiście - potwierdziła Emma. Chciała się jeszcze upewnić, że John ją lubi. To było przecież możliwe. - Czy nadal nienawidzisz mnie z powodu moich rodziców? - zapytała.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - oburzył się John. - Jeśli nie będziesz tak postępować jak twoja matka...

- Dziękuję uprzejmie - powiedziała Emma, zaciskając szczęki ze złości. - Jestem już zmęczona tym ciągłym oskarżaniem mnie o błędy mojej matki. Jeżeli jestem taka jak moja matka, to dlaczego ty nie jesteś taki jak twój ojciec? Nie rozumiem, jak można zakochać się w kimś tak nierozgarniętym. Jesteś zupełnie głupi!

Emma obróciła się na pięcie i pomaszerowała w kierunku domu. Zatrzasnęła za sobą ogromne, ciężkie drzwi. Co za potwór!

Stała w korytarzu i czuła jak narasta w niej wściekłość. Mattie wyszła z kuchni, niosąc wysoką szklanke oranżady.

- Wyglądasz, jakbyś tego potrzebowała - powiedziała, podając jej zimny napój. - Co się stało?

- Nic. Ale jestem cholernie wyprowadzona z równowagi. Ja go spiorę. Dlaczego jestem tak zainteresowana mężczyzną, który od razu zaszufladkował mnie nie tak, jak powinien? On myśli, że jestem taka jak moja matka i mnie nienawidzi. Jak podobna głupota może uchodzić mu płazem? Mattie, ja go kocham. Dlaczego on mnie nienawidzi?

Ostatniemu zdaniu towarzyszyło łkanie. Potem Emma rozplakała się na dobre.

Pani Macrae spojrziała na nią zaskoczona.

- Kochanie, nie wiem, co powiedzieć, jak ci pomóc. Czy ty nie przesadzasz? Aby na pewno mówisz o Johnie? Taki sympatyczny, zrównoważony człowiek. Zawsze można na niego liczyć. Nie sądzę, żeby mógł być aż tak małostkowy, jak mówisz.

Mattie przerwała swój wywód i spojrziała na nią niespokojnie.

- Co on ci zrobił?

- Pocałował mnie! Dwa razy! A potem powiedział, że dopóty będę szczęśliwa, dopóki nie będę postępować jak moja matka - rzekła Emma, pałając oburzeniem. - A ja mu na to powiedziałam, że nie będę jak moja matka, dopóki on nie będzie jak jego ojciec.

Pani Macrae była zszokowana.

- John jest najuczciwszym człowiekiem, jakiego znam. On z pewnością nie mógł tak myśleć. Musiałaś mylnie zrozumieć jego słowa. Musi być jakieś wyjaśnienie.

- Jeśli jest, chciałabym je usłyszeć.

- John jest tego typu mężczyzną, że nic nie robi bez powodu.

Emma słyszała zdenerwowanie w głosie Mattie i zdecydowała się zmienić temat.

- W porządku. Jeśli tak mówisz... - uśmiechnęła się do starszej pani. - A jak tobie upłynął dzień?

- W ogóle nie słyszałam tych dwojga na górze. Chyba przez cały czas spali. Ale potem znowu czyściłam półki w spiżarni i robiłam dużo hałasu. Mogłam nie słyszeć.

- Może ci pomóc?

- Nie, dziękuję. Zrobiłam wszystko, co zaplanowałam na dzisiaj. O, przyszedł do ciebie list polecony. Byłabym zapomniała. Wiem, że podpisywałam. Gdzie ja go mogłam położyć?

Emma instynktownie spojrziała na stolik w korytarzu. To były dwa listy poleczone. Jeden zaadresowany do niej, a drugi do Jill.

- Tutaj leżą, Mattie. Oba od pana Hendricksa! - zawołała. - Ciekawe, o co chodzi.

- Otwórz list, to się dowiesz - poradziła Mattie.

To było wezwanie do sądu. Na następny czwartek. Nie jestem pewna, pomyślała, kto wygra tę sprawę. Ale i tak nic z tego dobrego nie może wyniknąć. Jeśli zadecydują zbyt szybko, nie będę miała żadnych powodów, żeby spotykać się z Johnem. Nawet jeżeli on czasami mnie nienawidzi, z rozkoszą powierzyłabym mu swoje życie. Jestem cholernie głupia.

Potrzebuję, żeby świat się zatrzymał na kilka dni, żebym mogła przeanalizować wszystkie zmiany w moim życiu, pomyślała. Już zaczynam się czuć, jakbym należała do tego domu. To bardzo przyjemne uczucie. Całe życie byłam podrzutkiem w przytułku. A teraz ja tutaj należę, jak nigdy nie należałam przedtem. Podoba mi się to. Nie chcę, żeby się zmieniło. Nie tak szybko.

Słyszałam o opieszałości amerykańskiego sądownictwa, o wielu zaległych sprawach. Dlaczego tutaj to działa tak sprawnie i szybko? Wcale nie myślę o wygranej. Tylko jeszcze parę dni zwłoki. Parę dni więcej skradzionego szczęścia.

- Nie martw się - rzekła Mattie. - Bóg nas poprowadzi. Płakaniem nic tu nie pomogę, pomyślała Emma. Tak jest mi przeznaczone, że muszę należeć do tych najbardziej nieszczęśliwych. Przyłączyłam się do najbardziej pokrzywdzonych przez los, gdy ojciec mnie porzucił. Wiele razy później miałam złamane serce. Mogę tego nie lubić, ale już dawno powinnam była przyzwyczać się do tego.

Otarła palcem łzę. Ale nigdy przedtem serce nie było złamane aż tak bardzo. Westchnęła.

Usłyszała, że Mattie coś do niej mówi.

- Co mówisz?

- Emma? Emma? Czy coś złego w tym liście?

- Wezwanie na rozprawę sądową w sprawie ustalenia prawa do spadku. Pan Hendricks wyznaczył termin na czwartek.

- Pójdę tam z tobą - rzekła Mattie, jakby obawiała się, że Emma zaprotestuje.

- Oczywiście - spojrzała na Mattie z lekkim roztargnieniem, z trudem odciągając uwagę od spekulacji dotyczących Johna. - Proszę cię bardzo, zaopiekuj się mną w tej strasznej godzinie, gdy ogłoszą, że nie jestem prawdziwą Emmą.

Uśmiechnęła się do Mattie, wdzięczna losowi, że ma przy sobie kogoś, na kogo może liczyć.

- Tyle lat tęskniłam za tobą. Byłoby niesprawiedliwe, gdybyśmy znowu zostały rozłączone.

- Poradzimy sobie - zaśmiała się Emma. - Będziesz moim rycerzem, który pozabija złe smoki. A teraz powiedz, co na obiad. Umieram z głodu.

- A co byś chciała? - Mattie niczego nie lubiła bardziej niż ludzi, którzy chcieli jeść. A Emma nie tylko była zadowolona z jej kuchni, ale była też kimś, kogo kochała. - Nic nie przygotowałam. Myślałam, że John zaprosi cię na obiad.

- On próbował mnie nakarmić. Ale z niewytłumaczonych powodów zgłodniałam ponownie.

Sześć dni później stały w korytarzu budynku sądu. Granitowe ściany, chłodna marmurowa posadzka. Emma ubrana była w nowe ciuchy. Oliwkowy żakiet i pasujące do tego kolorem krótkie spodenki. Nigdy wcześniej nie kupiłaby czegoś takiego. Robiła jednak zakupy razem z Jill, dwa dni temu, i Jill namówiła ją do tego. Żakiet miał podszewkę z dżerseju, nieprzyjemną w dotyku, a letnie sandaalki nie chroniły przed chłodem posadzki. Ale i tak czuła, że jest jej do twarzy w nowym stroju.

Trochę miała wrażenie, że jest Alicją w krainie czarów. Chyba za chwilę zjawi się Biały Królik, spoglądając na zegarek i mrużąc: już późno, już późno. Denerwowała się nawet poczucie humoru nie mogło tu wiele pomóc.

Prawie nie spała ostatniej nocy. Strach mieszał się z marzeniami. Śniła o Johnie. Czerwone róże, jasne sztachety, dzieci bawiące się w ogrodzie. Wszystkie były podobne do

swojego ojca, to znaczy do Johna. Równocześnie zastanawiała się, co orzeknie sąd w sprawie Balleymore. Bała się tego.

To nieważne, co orzeknie sąd, pomyślała. Przegrałam niezależnie od tego. Bo jeśli stwierdzą, że nie jestem prawdziwą Emmą, wracam do Nowego Jorku. Jeżeli jestem dziedziczką, też stracę Johna, bo jemu zależy tylko na posiadłości. Nienawidzi mnie z powodu moich rodziców. Cokolwiek zdecydują, przegrałam. Cholera...

Emma rzadko przeklinała, ale знаła dobrze te słowa. Czula, że tym razem ma prawo ich użyć.

- Ziemia wzywa Emmę - głos Johna dotarł do jej świadomości.

- Co takiego? - zeskoczyła ze swojego obłoku. - Mówiłeś coś do mnie? Przepraszam. Już wracam z przestrzeni pozaziemskiej. Co takiego?

- Pan Hendricks prosi nas do siebie.

- Gdzie jest druga pretendentka do tytułu dziedziczki? - dopytywał się prawnik. - Przecież prosiłem obie panie o stawienie się na rozprawę.

- Na pewno zaraz przyjdzie. Przecież bez niej nie może się zacząć.

- Może zacząć się bez niej, oczywiście. Sędzia Harper nie ma zbyt dużo cierpliwości, a ja również nie lubię czekać - denerwował się prawnik. - Kiedy będzie pani w moim wieku, będzie pani wiedziała, że czas trzeba cenić.

Potrząsnął głową z oburzeniem i zawołał swego wnuka-kierowcę.

- Michael! Wyjdź na zewnątrz i zobacz, czy nie ma tam pani Jill Ballentine. Wszyscy na nią czekamy.

W tym właśnie momencie drzwi się otworzyły i weszła Jill uwieszona na ramieniu Luke'a. Pośpiesznie dołączyli do reszty. Jill była w jasnoróżowej sukience - jednocześnie przesadnie skromnej, kobiecej oraz podkreślającej co trzeba. Emma nie mogła zrozumieć, co robi Jill, żeby tak wyglądać. Być może

przyczyniała się do tego wrażenia zgrabna figura Jill. Emma spojrzała z zawiścią. W każdym razie obie czekały na wyrok.

- Żeby było jasne - mówił pan Hendricks. - Nie reprezentuję żadnej z pań. Moim obowiązkiem jest jedynie dostarczenie sądowi niezbędnych dokumentów. Decyzja w tej sprawie należy do sądu, nie do mnie.

Spojrzał na Emmę i na Jill.

- Nie, nie wiem, jaka będzie decyzja. I nie to jest dla mnie najważniejsze. To jest ostatnia sprawa sądowa, którą się zajmuję. Potem przechodzę na emeryturę. I zależy mi głównie na tym, bym dobrze wywiązał się z mojego ostatniego zawodowego obowiązku. Mam już swoje lata i jestem zmęczony.

Drzwi sali rozpraw gwałtownie się otworzyły. Poprzednia rozprawa właśnie się skończyła, zainteresowani opuszczali salę.

- Dziadek zidiociał przed śmiercią - denerwował się jakiś facet, który właśnie wychodził. - Zapisał ten obraz temu pociotowi, chociaż ja miałem do tego większe prawo...

- Sprawy spadkowe bywają paskudne - westchnął pan Hendricks. - Jeden drugiemu z przyjemnością wbiłby nóż w plecy.

- Prosimy na salę - powiedział do nich urzędnik sądowy. Emma usiadła i poczuła, że pogrąży się w sen. Ktoś wymienił jej nazwisko. Potem usłyszała:

- Emma Elizabeth Ballentine...

- Emma Jill Ballentine...

- Wysoki Sądzie - mówił pan Hendricks. - Mamy dwie pretendenci do spadku. Obie panie podają się za córkę Edwarda Everetta Ballentine i Emmy Julii Ballentine. Obie przedstawiły metrykę urodzenia oraz akt zgonu ojca, zawierający istotne różnice. Pobieżne oględziny wykazują, że każdy z dokumentów może być autentyczny, ale oczywiście nie wszystkie jednocześnie...

Podał sędziemu dokumenty.

- Dodatkowo przyniosłem również dokument orzekający o rozwodzie Emmy Julii Ballentine i Edwarda Everetta. Jak wynika z przedstawionego dokumentu, Emma Julia otrzymała pięćset tysięcy dolarów jako spłatę należnej jej części majątku. Zatem wynika z owego dokumentu, iż zrezygnowała z wszelkich praw do dysponowania majątkiem Balleymore.

Sędzia wziął do ręki dokument stanowiący o rozwodzie, a potem przyjrzał się Emmie i Jill.

- Teraz poproszę zarządcę farmy Balleymore o sprawozdanie finansowe.

- John Nichols Weld, zarządca farmy. Tak, jestem przygotowany.

Przeczytał szczegółowy raport a na zakończenie podsumował:

- Dodając do tego wartość domu oraz wyposażenia farmy będzie to około dwóch milionów stu tysięcy dolarów. Jak wspomniałem, następny rok będzie ostatnim rokiem spłaty zadłużenia. Proszę, oto dokumenty.

- Wysoki Sądzie - powiedział pan Hendricks - dołączam również kopię testamentu Emmy Julii Ballentine ustanawiającego panią Emmę Jill Ballentine jedyną dziedziczką posiadłości. Posiadam również kopię ostatniej woli Edwarda Everetta, nie poświadczoną prawnie. Niezbędne będzie w tej sprawie zatrudnienie specjalisty grafologa.

- Ogłaszam przerwę w rozprawie - zdenerwował się sędzia. - Strasznie tu dużo roboty, panie Hendricks. Nie jestem w stanie orzec dzisiaj o autentyczności takiej kupy papierów. Prawdę mówiąc, nie sądziłem, że pan to wszystko tak skomplikuje. Dzisiaj są urodziny mojej wnuczki, miałem nadzieję na wolne popołudnie. Proszę państwa, spotykamy się jutro o dziewiątej rano. Proszę o punktualne przybycie.

Emma chwyciła rękę pani Macrae jak kamizelkę ratunkową. John chciał się do nich dołączyć.

- Jaki pan miły, panie Weld - powiedziała zgryźliwie. - Czyżby zapomniał już pan, że jestem córką mojej matki?

- Jesteś sobą, a nie kopią swoich rodziców - rzekł uprzejmie. - Ja nie jestem moim ojcem ani ty nie jesteś swoją matką. Z przyjemnością podwiozę panie do Balleymore.

- Dziękujemy bardzo, wrócimy autobusem - rzekła Emma.

- Twój dzip nie ma klimatyzacji - Mattie przysła jej z odsieczą. - Podróż autobusem z pewnością będzie wygodniejsza.

- Przykro mi, że nie mogę zapewnić paniom odpowiedniego komfortu.

- Niestety, przywykliśmy do luksusu - zaśmiała się Mattie.

- Czy zatem mógłbym wpaść do pań na luksusowy obiad?

- Emmo, czy możemy zaprosić Johna na obiad? - zapytała Mattie.

Oczywiście, pomyślała Emma. Musi przyjść na obiad. Jeszcze parę godzin będzie przy niej. Jeszcze kilka chwil skradzionych losowi.

Dużo później Emma oderwawszy się od komputera spojrzała na zegarek.

- O rety - mruknęła do siebie. - Pracowałam prawie sześć godzin. Ale intryga wygląda na ciekawą, i to był dobry pomysł zrobić mordercą kogoś podobnego do Luke'a. Teraz trzeba wrócić do rzeczywistości. Pani Macrae zaprosiła gości na obiad. Mam na myśli, że John sam się wprosił do niej na obiad. Zobaczę Johna!

Szybko wskoczyła pod prysznic. Potem zanurkowała w przepastnej szafie, szukając ciuchów stosownych na to spotkanie.

Natknęła się na Mattie w korytarzu.

- Wszyscy czekają na ciebie i okropnie się niecierpliwią - powiedziała gospodyni. - Mówiłam im, że pracujesz i musimy poczekać, aż skończysz.

- Jacy wszyscy? - zdziwiła się.

- Jill i Luke niecierpliwią się najbardziej. I jest jeszcze John oczywiście.

- Dziękuję, Mattie - pocałowała starszą panią w policzek.

- Nie ma za co - uśmiechnęła się Mattie. - Siadaj do stołu. Gospodyni wyszła do kuchni przygotować półmiski z jedzeniem..

Jill i Lukę siedzieli przy oknie, trzymając się za ręce. John stał oparty o kominek. Widoczne było, że na nią czeka.

- Jesteś wreszcie - powiedział do niej Luke. - Macrae powiedziała, że nie da nam nic do jedzenia, dopóki nie zejdziesz na dół. I że nie wolno ci przeszkadzać, bo pracujesz. Kiedy Jill odziedziczy już tę posiadłość, trzeba będzie natychmiast zwolnić tę kobietę ze służby. Niech się wynosi.

Emma nic nie odrzekła. Nakazała sobie spokój. Nie było to łatwe.

- Nie mów tak, Luke - zaprotestowała Jill. - Ona mieszkała tu prawie przez całe swoje życie. Myślę, że powinna dostawać od nas emeryturę czy coś takiego.

- Sama o tym zdecydujesz - rzekł Luke szyderczo. - I tak będziemy wtedy na Rivierze, więc co to nas obchodzi.

Mimo tych nieprzyjemnych zdań, obiad upłynął w miłej atmosferze. Emma wychwalała potrawy przygotowane przez Mattie. Każdy jadł z apetytem. Pieczeń z jabłkiem okazała się wyśmienita. Gdy już wszystko znikło z półmisków, Jill i Luke wyszli bez słowa. Nawet nie podziękowali. Przy stole zostali Emma i John.

John odchrząknął.

- Nie wiem, czy powinienem ci mówić, ale sytuacja nie przedstawia się korzystnie. Rozmawiałem z Hendricksem, twierdzi, że mogą być problemy.

Przez chwilę panowała kłopotliwa cisza.

- Wiesz, że mi na tym nie zależy - powiedziała w końcu Emma.

Potem znowu przez pewien czas siedzieli w milczeniu. Emma nie mogąc tego znieść, wyszła z pokoju. W przedpokoju spotkała gospodynię.

- To był naprawdę wspaniały obiad, Mattie. Dziękuję. Pójdę teraz na górę. Mam jeszcze mnóstwo pracy.

- Jeszcze nie jadłaś deseru. Zrobiłam roladę lodową z owocami. Zostawię twoją porcję w lodówce - powiedziała Mattie. - Jak zgłodniejesz, wpadnij do kuchni na lody.

Emma włączyła komputer. Miała naprawdę bardzo dużo roboty. Ale natchnienie nie nadchodziło. Zastanawiała się, jak mogłaby teraz żyć bez Johna. To było okropne. Przedtem czuła się samotna, oczywiście. Teraz jednak, gdy wiedziała już, że istnieje ktoś taki jak John, czuła, że życie bez niego w ogóle traciło sens. Poczowała się strasznie, przeraźliwie samotna.

Muszę należeć wreszcie do jakiejś rodziny, myślała, siedząc przed komputerem. Być czyjąś krewną. Mieć kogoś, kto 'mnie kocha. Na szczęście mam Mattie. To jest wspaniałe. A oni widzą tu problem jedynie w pieniądzech. Kto odziedziczy, a kto nie. To głupie. Nie potrzebuję pieniędzy. Sama potrafię zarobić. Chcę mieć rodzinę. Chcę mieć Johna Welda. Teraz czeka mnie kolejna bezsenna noc. No dobrze, bierz się teraz do roboty, dziewczyno, skarciła sama siebie w myślach.

Godzinę później Mattie zapukała do jej pokoju. Przyniosła roladę lodową z owocami, kawę i wielki kawa! ciasta.

Postawiła tacę na stole obok komputera.

- Tak sobie pomyślałam, że mogłabyś mieć na to ochotę

- powiedziała gospodyni. - Mam nadzieję, że nie przeszkodziłam.

- Nie, właśnie miałam zamiar zejść do ciebie na lody - odparła Emma. - Muszę złapać natchnienie. Gospodyni dołała mleczka do kawy.

- Słyszałam waszą rozmowę - powiedziała. - John mówił, że mogą być kłopoty. Muszę im udowodnić. Ty jesteś moją małą Emmą, ostatnią z rodu Ballentine. Ballentine'owie od wielu pokoleń zawsze mieszkali w Balleymore. Ty się tu urodziłaś. Twój ojciec również. Wszyscy, począwszy od Micaha Ballentine, który pierwszy przybył w te strony.

- Mattie - rzekła Emma. - Naprawdę nie dbam o fortunę i nieważne, czy odziedziczę posiadłość. Mam swoje pieniądze. I to niemało. Przyjechałam tutaj nie po to, żeby coś otrzymać. Chciałam się dowiedzieć, kim jestem. Nic nie wiedziałam o sobie. A teraz to całe gadanie o spadku jest dla mnie krępujące.

- Ty jesteś prawdziwą Emmą Elizabeth Ballentine i nic masz się czego wstydzić - powiedziała stanowczo gospodyni. - Oczywiście pieniądze nie są najważniejsze, ale jedno łączy się z drugim. Najważniejsze jest to, że my obie znamy prawdę. Zjedz, kochanie, jeszcze trochę lodów. Jutro jest kolejny ważny dzień. Musimy im udowodnić.

- Dziękuję, Mattie.

- Nic się nie martw. Dobranoc, kochanie.

Następnego dnia w sądzie Emma spostrzegła dwóch mężczyzn, których nie widziała poprzednio.

- Kto to? - zapytała prawnika.

- Z urzędu podatkowego. Zawsze są obecni przy postępowaniu spadkowym, gdy chodzi o tak znaczną sumę pieniędzy.

Arthur Hendricks odwrócił się w stronę ławy przysięgłych.

- Panie mecenasie, czy pańscy eksperci są gotowi? - zapytał sędzia.

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Poprosimy eksperta-grafologa...

Wstał przygarbiony, szpakowaty mężczyzna. Złożył przysięgę.

- W sprawie autentyczności testamentu sporządzonego rzekomo przez Edwarda Everetta Ballentine, który pani Emma Elizabeth Ballentine przywiozła z Nowego Jorku... Jest prawdopodobne, że dokument istotnie został sporządzony przez wyżej wymienionego. Porównałem dokument z próbkami rękopisu sporządzonymi niewątpliwie przez Edwarda Ballentine. Mogę określić prawdopodobieństwo na dziewięćdziesiąt siedem procent...

Gdy grafolog już wrócił na miejsce, Arthur Hendricks zwrócił się do sędziego.

- Wysoki Sądzie - zaczął. - Wydaje się po sprawdzeniu szeregu danych, że akt zgonu przedstawiony przez Emmę Jill Ballentine jest fałszywy. Dane te nie figurują w powiatowym rejestrze. Emma Jill Ballentine może być córką E. E. Ballentine, ale nie Edwarda Everetta, właściciela Balleymore. Akt zgonu przywieziony z Nowego Jorku przez Emmę Elizabeth Ballentine jest autentyczny.

Jill aż dech zaparło. Spojrzała na Luke'a pytająco.

- Co to znaczy? Akt zgonu ma być podróbką? Skądżeś go wytrzasnął? Mówiłeś mi, że masz dokumenty, że wszystko jest w porządku. Powiedz, czy ja naprawdę jestem ich córką? Dlaczego pani Ballentine mnie nie pamiętała? Dopiero później... Co ty jej nagadałeś?

- Nie rozumiem, co tu się dzieje. Przestań tyle gadać.

- Ja... Luke... dlaczego mnie tak oszukałeś?

- Spokojnie, Jill. Zaufaj mi. Wynajmiemy lepszego adwokata. Wszystko jest w porządku.

- Panie i panowie - dobiegł ich gniewny głos sędziego. - Czy możemy kontynuować? Panie Hendricks, czy to wszystko, co miał pan do powiedzenia?

- Nie, na pewno nie wszystko - oświadczył prawnik. - Z pewnością jednak wszystko na teraz.

- Jak na razie brak bezpośrednich dowodów - zamyślił się sędzia. - Zmuszony jestem przełożyć rozprawę. Potrzebuję jeszcze jednego dnia do namysłu. Panie Hendricks, czy nie mógłby pan przedstawić bezpośredniego dowodu? Jakies znaki szczególne, blizny? Jakies znamię? Może pobierane były kiedyś odciski palców?

Prawniki potrząsnął przecząco głową. Ale w tym momencie oczy Edny Macrae rozblęły, jakby gospodyni wpadła na jakiś pomysł.

Kiedy wszyscy opuszczali salę rozpraw, Edna podeszła do prawnika. Powiedziała, że wymyśliła coś, co mogłoby być użyte jako dowód, i zaprosiła prawnika na obiad.

W drodze do domu Edna Macrae popadła w dziwne zamyślenie. Emma nie pytała o nic. Doszła do wniosku, że Mattie po prostu jest tym wszystkim bardzo zmęczona.

W domu gospodyni natychmiast znikła w swojej kuchni, „wygotować” wszystkie problemy.

- Czy coś się stało? - zdążyła ją jeszcze zapytać Emma.

- Nie, nic takiego - szybko odparła Mattie. - Muszę przygotować obiad. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zaprosiłam na obiad również doktora Owensa.

- Oczywiście, Mattie. Bardzo lubię doktora.

Emma włożyła zielono-różową, letnią garsonkę. Okręciła się kilka razy przed lustrem. Szeroka spódnica pięknie układała się przy obrotach.

Poprawiła włosy. I już po chwili witała się z gośćmi na dole.

- Ładnie wyglądasz - prawnik powiedział Emmie komplement.

- Dziękuję - odrzekła, biorąc z rąk Johna kieliszek napełniony białym winem.

Jedzenie było pyszne, rozmowa przy stole stawała się coraz ciekawsza. Doktor i prawnik opowiadali o przeróżnych niezwykłych sprawach, z jakimi zetknęli się w swojej praktyce zawodowej. Obaj potrafili mówić, trzymali słuchaczy w napięciu, umieli rozbawić towarzystwo...

Obiad kończył się. Mattie wniosła na ogromnym półmisku ogromny tort czekoladowy.

- Ten tort nazywa się czekoladowa śmierć - zażartowała, krojąc i nakładając każdemu na talerz okazałą porcję smakołyku.

Emma uwielbiała tort czekoladowy. Obiecywała sobie wprawdzie nie jeść czekolady, ale już tak dawno nie rozkoszowała się tym przysmakiem...

Pani Macrae i doktor przyglądali się uważnie Jill i Emmie pałaszującym ciasto.

Jill sięgnęła po drugą porcję. Widać było, że je z apetytem.

Emma wzięła kawałek do ust. Pyszne... Nagle stwierdziła, że nie czuje się dobrze, że brakuje jej oddechu. Próbowała sięgnąć po stojącą przy niej szklankę z wodą. W tym momencie straciła przytomność i osunęła się bezwładnie, uderzając twarzą w talerzyk z ciastem.

- Chcieliście dowodu, to teraz go macie - powiedziała Mattie z satysfakcją. - Doktorze, proszę pomóc. Dodałam do ciasta masło orzechowe - powiodła zwyczajem wzrokiem po zebranych. - Prawdziwa Emma jest uczulona na masło orzechowe. Bardzo silna reakcja alergiczna. Doktor Owens znalazł kartę zdrowia Emmy z wczesnego dzieciństwa. Dane medyczne wskazują na to, że mamy przed sobą prawdziwą Emmę. Od początku wiedziałam, że to ona. Moja malutka Emma. I wreszcie zdołałam to udowodnić.

Doktor Owens podszedł do leżącej bezwładnie Emmy. Jill siedziała obok zupełnie zdrowa. Tylko w jej oczach pojawiły się łzy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Co jej zrobiłaś? - krzyknął John do pani Macrae. Zerwał się na równe nogi, gwałtownie odsuwając krzesło. - Mogłaś ją zabić!

- Spokojnie, John - powiedział pan Hendricks. - Pani Macrae miała z pewnością jakiś cel w tym, co zrobiła.

Doktor Owens zrobił Emmie zastrzyk.

- Nie denerwuj się - zwrócił się do Johna. - Szybko dojdzie do siebie. To tylko wygląda tak groźnie.

Spojrzał na Jill i zapytał:

- lzy płynęły jej po policzku.

Emma chwyciła panią Macrae za rękę.

- Co było w tym cieście?

- Masło orzechowe - wyjaśnił John z obrzydzeniem.

- Och.

- Chodź, kochanie - powiedziała przymilnie pani Macrae.

- Zaprowadzę cię na górę. Położysz się.

John rzucił gospodyni cierpkie spojrzenie. Pomógł Emmie wstać, wziął ją na ręce i razem z nią wszedł na schody. Pani Macrae pobiegła za nimi.

- Za chwilę wrócimy - powiedział.

Zeszli na dół już po paru minutach. Doktor i prawnik kończyli ciasto i dopijali ostatni łyk kawy. Jill siedziała przy stole z drugiej strony. Ścisła oburącz szklankę z wodą, jakby chciała zadusić ją na śmierć.

- Czy z nią wszystko w porządku? - zapytała.

- Oczywiście - zapewnił ją doktor. - Ma wszystko, czego jej potrzeba. Prześpi się w nocy. Mocny sen przywróci jej siły.

John odwrócił się w stronę lekarza i prawnika.

- Chyba powinniście mi wyjaśnić, jak lekarz może się wplątać w taką sprawę. Wydaje się to całkowicie sprzeczne z etyką lekarską.

Sarkazm był w jego głosie i głucha wściekłość.

- John... - odrzekł prawnik. - Trafiłeś w sedno swoim pytaniem. Musisz przyznać, że to jest kolejny kawałek łamigłówki, decydujący kawałek.

John nie miał do nich zaufania. To fakt, doktor przygotował niezbędne lekarstwa. Edna kochała Emmę. Ale zrozumiał, że trzeba dbać o dziewczynę, chronić ją nawet przed najbliższymi.

- Jeżeli skończyliście z głupimi pomysłami na dziś wieczór, to ja idę do domu - powiedział. - Doprowadzacie mnie do tego, że niedługo nie będę odpowiadał za swoje czyny. Przyjdę rano zawieźć Emmę do sądu. I, bardzo proszę, żadnych więcej eksperymentów.

John wyszedł.

- To był raczej drastyczny test - stwierdził pan Hendricks, patrząc na dwoje konspiratorów. - Czy będziecie mogli powtórzyć to jutro w obliczu Wysokiego Sądu?

- Nie bądź głupi - zdenerwował się doktor. - Ona zareagowała na to znacznie silniej, niż przypuszczaliśmy.

Emma wreszcie się obudziła, gdy pani Macrae długo pukała do drzwi.

- Proszę.

Starsza pani weszła z tacą. Kawa, ciasteczka.

- Czy wszystko w porządku, kochana? - zapytała z obawą w głosie. - Przykro mi, że cię przestraszyłam, ale był to jedyny sposób, jak myślę, żeby dowieść, że to właśnie ty.

- Mattie - poprosiła Emma, próbując usiąść na łóżku. - Wiem, że chciałaś dla mnie jak najlepiej. Ale nie rób tego więcej. Dobrze?

Poruszyła się w łóżku i poczuła, że swędzi ją całe ciało. Okropność, pomyślała, tyle razy już sobie obiecywałam, że nigdy więcej reakcji alergicznych. Wezmę pigułkę.

- Mattie - zapytała z wahaniem, choć natarczywie. - Czy mogłabyś mi podać tę pigułkę od doktora?

W myślach błagała Mattie o twierdzącą odpowiedź.

- Proszę, kochanie. Zaraz znajdę.

- Dziękuję.

Potrzeba drapania robiła się coraz bardziej nagląca. Mattie szukała pigułki. To trwało całe wieki. Postanowiła, że jednak będzie się drapać. To było silniejsze od niej.

Nareszcie.

Mattie z troską patrzyła na Emmę, która w jednej ręce trzymała pigułkę, a drugą drapała się po brzuchu.

- Robert ostrzegął, że reakcja może być gwałtowna. Chyba nie słuchałam go z należytą uwagą. Przepraszam, kochanie. Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Jakie masz życzenia?

- Chciałabym dostać parę rękawiczek - Emma na chwilę przestała się drapać. Bynajmniej nie dlatego, że już nie swędziało. Sprawiała to zaniepokojona mina Mattie. Postanowiła drapać się w tajemnicy.

- Dobrze, przyniosę ci rękawiczki. A teraz napij się kawy. Jill zapukała i weszła. Jeszcze w piżamie. Przygnębiona.

Jakby całą noc rozmyślała i nie były to miłe myśli.

- Czy nie przeszkadzam?

- Skądże znowu! - zawołała Emma. - Siadaj, może napijesz się kawy? Mattie przyniosła, wystarczy i dla ciebie. Zobacz, jakie pyszne ciasteczka.

Jill usiadła koło niej. Po chwili wróciła Mattie z rękawicami.

- Wygląda na to, że Luke nie zabierze mnie dzisiaj do sądu. Czy będę mogła pojechać z tobą? - głos Jill lekko zadrżał.

- John przyjedzie po nas. Nie zapomni i o tobie - obiecała Mattie.

- Przyjedzie po nas? - zdziwiła się Emma, pałaszując ostatnie ciasteczko.

- Na pewno będzie lepiej, jeśli ktoś się tobą zaopiekuje - zdecydowała Mattie.

- Czuję się zupełnie dobrze - zaprotestowała Emma. - I nie chcę sprawiać kłopotu panu Weldowi.

- Ale nie wyglądasz dobrze - stwierdziła Jill.

- Czy uważasz, że nie jestem ładna? - zaśmiała się Emma.

- Dobrze, będę szczerą. Czy już zdążyłaś dzisiaj przejrzeć się w lustrze?

- Nie.

- Na twoim miejscu unikałabym luster.

Emma uśmiechnęła się do siebie. Przyjemnie było przekomarzać się z Jill, razem żartować. Dobrze by było mieć taką siostrę jak Jill. Właściwie to czemu nie?

Emma wstała z łóżka. Poszła do łazienki, gdzie zrobiła co potrzeba. Spojrzała w lustro i jęknęła.

- Powinam była pójść za twoją poradą, Jill, i unikać luster. Zobacz moją twarz.

- Ręce i nogi też masz w krostach - zawołała Jill. - Jeśli chcesz, myj się pierwsza. Ja muszę pomyśleć, w co się dzisiaj ubiorę.

Emma umyła się naprawdę szybko. I zaczęła szukać w szafie czegoś, co miałyby długi rękaw i jednocześnie nadawałoby się na upały.

Dokładnie o dziewiątej dzip Johna podjechał przed drzwiami.

- O rety! - mruknął John, starając się nie patrzeć na Emmę. - Panie już gotowe? Jedziemy.

- Uważaj, koleś - żartowała Emma. - Jesteśmy w przewadze. Możemy napaść na twój samochód, obrabować cię i porzucić na środku drogi.

John ucieszył się, słysząc wesołość w głosie Emmy. Miała na twarzy trzy czerwone plamy. Na brodzie, czole i prawym policzku. Ale i tak wyglądała znacznie lepiej niż wieczorem, gdy ją wnosił na schody.

Dzięki Bogu za to - mruknął.

Podróż upłynęła miło i wesoło. John bardzo uważał, żeby nie wspomnieć o Luke'u, który ulotnił się poprzedniego dnia i nie było po nim ani śladu. Obawiał się także zajrzeć w domu do kasetki z pieniędzmi. Miał silne przeczucie, że jest pusta.

W sądzie przedstawiciel władzy zaprosił ich do poczekalni. Czekali na sędziego i na pana Hendricksa.

Prawnik przybył pięć minut później, prawie jednocześnie z sędzią. Zaproszono wszystkich na salę rozpraw.

- Chciał pan przedstawić jeszcze jakieś dowody.

- Tak, Wysoki Sądzie. Poproszę pana Williama Blancharda.

Wstał szczupły, elegancki mężczyzna około czterdziestki.

- Pana nazwisko i zawód?

- William Blanchard, jestem prywatnym detektywem. Moje zadanie polegało na sprawdzeniu autentyczności dostarczonych do sądu dokumentów. Sprawdziłem, czy rzekomy akt zgonu

Edwarda Ballentine z dnia 16 kwietnia 1985 roku został zarejestrowany w powiatowym urzędzie. Z braku danych wywnioskowałem, że dokument ten jest fałszywy. Już przedtem miałem pewne podejrzenia w związku z tym dokumentem, gdyż brakowało na nim podpisu lekarza.

Jill zrobiła się blada jak ściana.

- On powiedział, że Edward E. Ballentine był moim ojcem - szepnęła. - Luke mówił, że ojciec był właścicielem Balleymore. I że on ma ten akt zgonu.

- Zgłosiłem policji fałszerstwo dokumentu. Zeznanie zostało zaprotokołowane i policja wszczęła śledztwo - kontynuował detektyw.

Po chwili sędzia poprosił sierżanta policji, znajdującego się na sali rozpraw.

- Sierżant James Hartwell - przedstawił się ubrany po cywilnemu policjant. - Wysoki Sądzie, otrzymaliśmy od Williama Blancharda dowody świadczące o fałszerstwie dokumentu. Wszczęliśmy śledztwo w tej sprawie, uwieńczone sukcesem. Fałszerz znajduje się na sali rozpraw.

- Nazywam się Peter J. Donovan - rzekł przestępca, niechlujny typek w brudnej, brązowej kamizelce i pogniecionych spodniach.

- Panie Donovan, fałszerstwo dokumentu jest poważnym przestępstwem. Jednakże pańskie przyznanie się do winy sąd potraktuje jako okoliczność łagodzącą. Na czyje polecenie dokonał pan rzeczonego fałszerstwa?

- Człowiek, który mi zapłacił, mówił, że nie będzie problemów. Po prostu zrób dokument i nic się nie bój. No i mam pecha.

- Kim był ten człowiek?

- To był Luke Weld. Jego brat - fałszerz wskazał na Johna. Zauważył siedzącego przy nim Hendricksa, a potem Jill.

- To dla tej pani chciał Weld zgarnąć ten szmal - wyjaśnił.

- Mówił, że to jedyna dziedziczka. No i mam pecha. On mi powiedział, że nie będzie problemów. I co? Jestem tutaj. A on gdzie? Wydaje mi się, że na wakacjach w Brazylii.

Jill nic nie powiedziała. Siedziała na krześle i kulila się ze strachu. Emma dobrze ją rozumiała. Serdecznie objęła ją ramieniem.

- Sąd wyda nakaz aresztowania Luke'a Welda. Panie Hendricks, czy ma pan jeszcze coś do dodania?

- Tak, Wysoki Sądzie. Wczoraj wieczorem w czasie kolacji, uczestniczyli w niej: John Weld, Luke Weld i doktor Robert Owens, Edna Macrae podała pieczone przez siebie ciasto czekoladowe, do którego dodała okazałą porcję masła orzechowego. Zgodnie z danymi doktora, pochodzącymi sprzed dwudziestu lat, dotyczącymi córki Edwarda Everetta - Emmy Ballentine - występuje u niej silna alergia na masło orzechowe. U pani Emmy Jill nie zanotowano żadnej reakcji, natomiast Emma Elizabeth przypląciła eksperyment poważną chorobą. Oto oświadczenie doktora Owensa. Można ewentualnie powtórzyć ten eksperyment. Jill wstała gwałtownie.

- Nie! - powiedziała głośno i wyraźnie. - Nie ma powodu, by powtarzać ten test. Nie jestem córką Edwarda Everetta, ani Emmy Julii Ballentine. Oszukiwałam sama siebie, bo chciałam, żeby było prawdą to, co mówił Luke. Jestem znajdą bez imienia i nazwiska - zaczęła płakać.

- Przykro nam...

- ... Sąd orzeka, że Emma Elizabeth Ballentine jest prawną dziedziczką posiadłości Balleymore...

Pani Macrae i John pochylili się ku Emmie z gratulacjami. Nie ruszyła się z miejsca, jakby była przyklejona. Czuła się oszołomiona wyrokiem, który zapadł tak szybko. Poza tym swędziało ją dosłownie wszystko.

Wiem, że to ja jestem prawdziwą Emmą, pomyślała. Mattie wyjaśniła mi to ostatniej nocy. Okropność, dlaczego nie mogę się drapać? Dlaczego nie cieszę się z tej schedy? Źle się czuję i

w ogóle nie umiem się cieszyć. Ta reakcja alergiczna była gorsza niż kiedykolwiek przedtem.

Wyrok ofiarował mi przeszłość i nazwisko. Mam rodzinę i mogę myśleć o przyszłości. Dlaczego Jill nie mogła dostać tego samego? Tak łatwo mogło się okazać, że sprawy mają się odwrotnie. Byłabym bezdomna, bezimienna i z wysypką. Już kiedyś to się zdarzyło. Jak dobrze znam to uczucie. Kiedy ona powiedziała, że jest podrzutkiem bez nazwiska, prawie czułam, że jestem nią. Siedzi teraz koło mnie, próbuje się uśmiechać i być dzielna. Jest mi tak bliska jak siostra. Do licha, dlaczego to tak cholernie swędzi?

- Co się dzieje? - zaniepokoiła się Mattie. - Czy cię tak bardzo boli?

- Raczej swędzi. Za chwilę nie wytrzymam i zdrapię sobie całą skórę aż do kości. Dzięki za rękawiczki.

- Przepraszam. Nie wiedziałam, że reakcja będzie aż tak silna. Może weźmiesz jeszcze jedną pastylkę? Bob mówił, że powinnaś brać po jednej co sześć godzin.

Emma wyrwała jej z ręki pastylkę i szybko połknęła bez popijania.

- Ratuszujesz mi życie, Mattie. Dzięki. Jaki Bob?

- Bob? - Mattie zaczerwieniła się. - Myślałam o doktorze Owensie. Chodziłam z nim kiedyś do szkoły. On ma na imię Robert i zawsze nazywałam go zdrobniale Bob.

Emma chciała o coś jeszcze zapytać, ale przerwał jej John.

- Miłe panie - zawołał. - Ruszamy do Balleymore. Czekaj nas uroczysta biesiada z okazji szczęśliwego zakończenia sprawy.

- Biesiada? - zdziwiła się pani Macrae. - Nie starczy mi czasu, żeby przygotować jedzenie.

- Nie martw się, Edna. Rozmawiałem z Barbarą Hardy. Obiecała wszystkiego dopilnować. Na pewno zrobiłabyś to lepiej, wiadomo, że nikt nie gotuje tak dobrze jak ty. Ale przecież nie mogłaś być jednocześnie w dwóch miejscach: w sądzie i w kuchni.

- Też tak myślę - Mattie była zadowolona.

Jill wyglądała, jakby podejmowała właśnie ważną decyzję.

- Czy możesz podwieźć mnie do autobusu, jak tylko spakuję moje rzeczy? - zapytała Johna.

- Dlaczego chcesz wyjechać? - przerwała Emma, zanim John zdążył odpowiedzieć.

- Nie ma tu już dla mnie miejsca i to najlepsze co mogę zrobić.

- Dokąd chcesz pojechać?

- Tam, gdzie uda mi się znaleźć jakąś pracę.

- To nie wygląda najlepiej - zatroskała się Mattie.

- Dobrze - zdecydowała Emma. - Jedź teraz z nami i zostań na biesiadzie. Masz jeszcze czas.

Wsiedli w czwórkę do dżipa i wyruszyli do Balleymore.

Gdy znaleźli się z powrotem w domu, ujrzeli Barbarę Hardy stojącą w ogrodzie przy grillu. Piekła kurczaki, żeberka, mięso wołowe. Mniejszy grill pełen był hamburgerów i hot dogów przygotowywanych z myślą o dzieciach.

Na biesiadzie było około pięćdziesięciu osób. Emma poznała niektórych, pamiętała ich z pogrzebu. Byli pracownicy z farmy Balleymore, ich rodziny, farmerzy z sąsiedztwa. To było prawdziwe święto. Każdy przyniósł własny talerz.

Barbara Hardy zobaczyła, jak wysiadają z samochodu.

- Gratuluję, moja droga - zawołała. - Zebraliśmy się tu wszyscy, by powitać nową dziedziczkę Balleymore. Wiem, że nie gotuję tak dobrze jak pani Edna, ale i tak serdecznie zapraszam wszystkich na biesiadę.

Wzięła Emmę za rękę i poprowadziła przed zgromadzonych.

Emma czuła się szczęśliwa. Prawie całkiem.

- Dziękuję, że przyszliście! - zawołała do gości.

- Pani Ballentine - zwrócił się do niej starszy mężczyzna. - Nazywam się Tomasz Sullivan. W imieniu pracowników farmy chciałbym gorąco powitać nową dziedziczkę Balleymore.

- Panie Tomaszu... - zaczęła mówić Emma. Czegoś tu jej brakowało. - Bardzo dziękuję panu i wszystkim pracownikom...
 - Już wiedziała. - Moja siostra i ja dziękujemy za życzliwość i zapraszamy do uczt.

Zapadła cisza. Goście zastanawiali się nad znaczeniem tego, co powiedziała.

- Chciałam przedstawić wszystkim Jill Ballentine, moją siostrę - przyciągnęła delikatnie Jill ku sobie.

John i Mattie zaczęli bić brawa. Jill wyglądała na przestraszoną. Szarpnęła Emmę za rękaw.

- Co robisz?

- Adoptuję cię - zaśmiała się Emma. - Zachowaj pogodny wyraz twarzy.

- Nie możesz tego zrobić - szepnęła Jill z nadzieją w głosie.

- Oczywiście, że mogę. Kto mi zabroni? - powiedziała Emma bardzo poważnie. - Chciałabym, żeby to też był twój dom. Nigdy przedtem nie miałam rodziny. Chcę mieć rodzinę i chcę mieć siostrę.

- - Tak, rozumiem. I nie będziesz sprzedawać farmy?

- Nie mam najmniejszego zamiaru. Nie potrzebuję pieniędzy, potrzebuję domu.

- Pieniądze - rzekła Jill uroczystym tonem - nie mogą dać wszystkiego. Sądziłam, że wszystko można kupić. Lukę mnie tego nauczył. Pokazał mi styl życia, o jakim nawet nie marzyłam. Podobało mi się to. Ale teraz zaczynam rozumieć, że chodzi o coś jeszcze. Myślałam, że Lukę jest odpowiedzią na wszystkie moje marzenia. O rety, jaka byłam głupia.

- Wiele osób nabrało się na urok osobisty Lukę'a. Nie ty pierwsza i pewnie nie ostatnia.

- Niestety, zrobiłam jeszcze jedno głupstwo - przerwała Jill. - Pozwoliłam mu, żeby pożyczył pieniądze na konto tego testamentu... Jaka ze mnie idiotka. On to wziął ode mnie. Pięć tysięcy dolarów.

- Czy wziął od ciebie całą sumę? - zapytał John.

- Tak. Mówił, że konieczne są jakieś koszty, że trzeba zainwestować... Nie miałam wtedy żadnych powodów, by mu nie ufać.

Emma wołała zająć się jedzeniem, niż zakłócać sobie tak miły dzień mówieniem o Luke'u. Już dawno zapomniała o ciasteczkach, które rano przyniosła jej Mattie na górę.

- Co dla pani, szefowo? - zapytał chłopczyk, pomagający Barbarze Hardy przy grillu.

- Zacznę od pieczonego kurczaka. Sałatka, makaron... Jill, Mattie, John, Robert Owens i pan Hendricks szybko dołączyli do niej. Oni też czuli, że niebawem umrą z głodu. Rozmawiali głównie o jedzeniu - gdzie jest sól, jakie dobre ciasteczka...

Emma podejrzliwie patrzyła na słodycze. Obawiała się, że znowu ktoś dodał do ciasta masła orzechowego.

Siedzieli w szóstkę przy stole, rozkoszując się jedzeniem. Co chwila podchodzili do nich młodzi ludzie, przynosząc przeróżne przysmaki. Barbara Hardy zorganizowała grupę młodzieży do pomocy w biesiadzie, pomocnikom przewodziła szesnastoletnia Hilda.

- Czy jesteście zadowoleni? - zapytała pani pastor. A potem dodała: - Jutro będę w kaplicy prawie cały dzień. - Spojrzała na panią Macrae i na doktora Owensa. - Może wpadlibyście. Ustalimy termin ślubu. Czy możecie wpaść do mnie jutro w tej sprawie?

- Nie rozumiem - zdziwił się Robert Owens.

- Jesteście razem prawie czterdzieści lat - zaśmiała się pani pastor. - Czas się wreszcie zdecydować. Sformalizować wasz związek.

Spojrzała na Emmę i Johna.

- Czy mogę zaplanować na przyszły miesiąc podwójne wesele?

Emma była zaskoczona. Skąd to przyszło do głowy Barbarze? Jak widać, inni też myśleli o jej szczęściu. Koniec z samotnością.

- Minutkę, bardzo proszę - powiedział John. - Będę musiał porozmawiać z Emmą sam na sam.

Zwrócił się do Emmy.

- Zapraszam na małą pogawędkę.

Emma skinęła głową, chwyciła jego wyciągniętą rękę. Poprowadził ją w stronę starego dębu. Usiedli na ławce w cieniu drzewa.

- Co planujesz na najbliższe pięćdziesiąt lat? - zapytał John.

- Nie robiłam aż tak odległych planów na przyszłość - szepnęła. - Mogę planować najdalej na pojutrze.

- Zatem, co planujesz na pojutrze, jeśli można wiedzieć?

- Postanowiłam zapytać cię pojutrze, czy nie znasz jakiejś odpowiedzialnej osoby, która mogłaby zarządzać farmą Balleymore. Sądzę, że jeśli sądział z ciebie obowiązek zarządzania Balleymore, z pewnością chciałbyś teraz więcej czasu poświęcić swojej farmie - Emma mówiła, przyglądając się szczytom gór, drzewom i ptakom. Nie chciała patrzeć Johnowi w oczy. Mogłaby wyczytać w nich, że jej nie kocha. To byłoby zbyt bolesne.

Nie kochał jej. Nawet tego jej nie wybaczył, że była córką swojej matki.

- Aktualnie... - zaczął John. - Aktualnie... mam taki pomysł. ..

- kontynuował. - Nie jestem jednak pewien, czy zgodzisz się na moją propozycję...

- Kogo proponujesz? - zapytała Emma.

- Dobrze... - John wolno cedził słowa. - Ten człowiek ma duże doświadczenie w zajmowaniu się farmą. Pochodzi z tych stron. Jest mistrzem płonów, czarodziejem urodzaju, poza tym urodzony menedżer, jak nikt inny zna się na pracy farmerskiej.

- Ten człowiek... To jest jak z bajki. Kto to jest?

- Nazywa się John Nichols Weld - rzekł John.

- To ty?

- Ja.

- Zatem to prawda. Luke miał rację - stwierdziła Emma.

- Pomagałeś mi tylko dlatego, żeby dostać tę farmę.
 - Wcale mi nie zależy na twojej własności - oburzył się John.
- Następnie przysunął się bliżej Emmy. - Marzę o tobie
- przywarł do niej swoim ciałem. Lekko pocałował w policzek. To miał być krótki, serdeczny całus, ale czuł, że bliskość Emmy doprowadza go do granic szaleństwa. Pamiętał poprzednie pocałunki, tym razem wrażenie było jeszcze silniejsze.
 - Czy rozmawiamy o moim zatrudnieniu? - zapytał bliski utraty tchu.
 - Dobrze, dostaniesz tę robotę - szepnęła Emma, pozostawiając ślad szminki na jego policzku.
 - Oba podania rozpatrzono pozytywnie?
 - Oba. Jak głupio mówiłam o tych pieniądzach.
 - A teraz nie boisz się już o pieniądze?
 - Nie obchodzą mnie. Nigdy mnie nie interesowały. Chcę ciebie.
 - Emma Elizabeth Weld - powiedział John. - Moja żona. To mi się podoba.
 - Mnie też - wtuliła się w jego ramiona. Przez cały czas byli pilnie obserwowani przez grupę gości. Wiele par życzliwych, ciekawskich oczu.
- Gdy goście zobaczyli, że Emma i John całują się, zaczęto klaskać, wiwatować na ich cześć.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dla Emmy to było więcej, niż mogła sobie wymarzyć. Cudownie było w jego ramionach. Nigdy nie sądziła, że człowiek może być aż tak szczęśliwy. Jedynym problemem, który wyraźnie zarysowywał się przed nią, było to, że w jego ramionach topniała jak kostka lodu w promieniach słońca. I jak para wodna unosiła się ku niebu, wyżej, niż znajdowały się do tej pory wszystkie obłoki jej marzeń. Jeśli w ogóle można to nazwać problemem.

- Mógłbym całować cię przez całą noc - mruknął John. - Chyba jednak musimy zająć się gośćmi.

- Jill się nimi zajmuje. Siostry zawsze się przydają - wsunęła język między jego wargi.

- Jill - powtórzył John, delikatnie przygryzając jej język, a następnie pokrywając jej szyję serią pocałunków. - Twoja siostra Jill?

- Tak. Być może nie ma między nami związków krwi, ale jesteśmy siostrami. Proszę, nie kłóć się ze mną o to - wsunęła się głębiej w jego ramiona.

- Nie będę się kłócił - rzekł John z powagą. - Jest mi jedynie przykro, że miała kłopoty przez Luke'a.

- Gładka buzia i wykwintne maniery to rzeczy bardzo niebezpieczne.

- Czy dlatego wybrałaś właśnie mnie?

- Nie tylko dlatego - zaśmiała się. Wtuliła głowę w jego szyję.

- Dobrze, chodźmy na chwilę do gości.

Goście byli ciekawi wyniku tej rozmowy. Przecież nie mogli tego słyszeć. Domyślali się tylko. Ucieszyli się, że młodzi wstają wreszcie z ławki pod starym dębem i wracają do nich.

- Czy już zdecydowaliście o waszej przyszłości? - zapytał doktor Owens.

John podszedł do stołu, przy którym siedzieli doktor Owens i pani Macrae. Pochylił się nad stołem i zakomunikował scenicznym szeptem:

- Tak. Zdecydowaliśmy się. Pastor Barbara Hardy z przyjemnością zaproponowała nam swoją kaplicę. A co wy zamierzacie robić? To jest zły przykład dla młodszej generacji - zaśmiał się. - Starsi, którzy obściskują się chyłkiem w kącie, zamiast po prostu wziąć ślub. To doprawdy wstyd.

Wśród gości zapadła cisza. Każdy oprócz Emmy był świadom trwającego przez długie lata związku Edny z doktorem. Ktoś zawołał do doktora:

- Czy myślisz, że czterdzieści lat to za mało, żeby dobrze poznać dziewczynę? Kiedy wreszcie się jej oświadczysz?

Doktor Owens wstał i rzucił gniewne spojrzenie na tłum gości.

- Nie potrzebuję waszego ponagłania. Od trzydziestu dziewięciu lat i sześciu miesięcy proszę ją o rękę.

Zwrócił się do Mattie:

- Edna, kochanie, nawet jeśli nie umiesz gotować, chcę się z tobą ożenić. Proszę: powiedz tak.

Mattie opuściła głowę, zarumieniła się i powiedziała głośno i wyraźnie:

- Chcę cię poślubić, Robercie Owens.

Doktor Owens roześmiał się uszczęśliwiony i pochylił się, by pocałować swoją narzeczoną. Goście zaczęli klaskać i krzyczeć na wiwat.

- Przypominam, że w przyszłym miesiącu mam kilka wolnych terminów - powiedziała Barbara Hardy. - Wpadnijcie jutro omówić sprawę albo zadzwońcie do mnie, jak się zdecydujecie.

Jill podeszła, by pogratulować Emmie i Johnowi. Wyglądała trochę melancholijnie.

- Coś nie w porządku? - zapytała Emma.

- Nie. Tylko myślałam, że to ja pierwsza wyjdę za mąż. Takie mam szczęście. Okazałam się fałszywą Emmą. Wybrałam fałszywego brata. I on mnie zostawił.

Jill śmiała się. Emma mogła jednak wyczuć, że jest to śmiech przez łzy.

Odeszły na chwilę razem i Jill mogła wypłakać swoje stracone złudzenia, marzenia, które się nie spełniły.

Niedługo potem goście zaczęli zbierać swoje dzieci, torebki i naczynia. Służba uwijała się żywo, pomagała młodzież, i już po kwadransie nikt by się nie domyślił, że było tu jakieś przyjęcie. Oprócz grilla, w którym tliły się jeszcze węgle. Znowu było czysto, panował spokój.

Pan Hendricks, wychodząc wraz z Michaeliem, powiedział Emmie, że zawsze może liczyć na jego pomoc i poradę. Prawnik postanowił nie prowadzić już żadnej sprawy w sądzie, nie miał już na to siły. Obiecał jednak w każdej chwili służyć swoją wiedzą.

- Z chęcią przyjmę zaproszenie na obiad - powiedział.

- Albo lepiej będzie wprosić się do Owensów - zaśmiał się.

- Tam teraz będzie najlepsze jedzenie.

Prawnik wyszedł. Zostali już tylko Emma, Jill, John, Mattie i Robert Owens. Doktor wszedł z Edną do budynku. Musiał zatelefonować, dowiedzieć się, czy były na ten dzień jakieś zgłoszenia od pacjentów.

- No, tak. Mam na dzisiaj kilka wizyt. Muszę jechać do chorych - powiedział, wróciwszy do ogrodu, - Do widzenia, dziękuję za miłe przyjęcie. Myślę, że niedługo się spotkamy. Edna parzy kawę i zaraz do was przyjdzie. Do widzenia.

Podszedł do samochodu. Usłyszeli warkot silnika.

- Czuję się jak ktoś obcy - powiedziała Emma.

- Dlaczego?

- Nie wiedziałam, że Mattie kocha się w doktorze. To mnie zaskoczyło.

- Nawet ja o tym wiedziałem - śmiał się John. - Wspaniała z nich para.

- I ja wiedziałam - stwierdziła Jill. - I podobało mi się to. Miłość w każdym wieku może być piękna. W każdym wieku i w ogóle.

- Tak - westchnęła Emma. - Wejdzmy do środka. Robi się chłodno. I moglibyśmy napić się kawy.

- Muszę już iść, niestety. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia na mojej farmie.

- Czy nadal będziesz zajmował się obiema farmami?

- Nie. Zamierzam zatrudnić Jesse'a Fernandez, by nadzorował pracę na farmie Weldów, a sam chcę skoncentrować się na Balleymore. Jesse od dawna jest moją prawą ręką i sądzę, że tak będzie najlepiej. I tak jednak mam kilka spraw, którymi muszę zająć się osobiście. Dzisiaj był bardzo męczący dzień. Połóż się wcześniej spać. Przyjdę do ciebie jutro wczesnym rankiem. Ustalimy szczegóły naszego ślubu.

Chciał pocałować ją na dobranoc, ale zrobił się z tego tak gorący, namiętny całus, że ledwie mógł się od niej oderwać.

- Jestem szalony, skoro nie mogę wyjść. Dobranoc, Emmo - odwrócił się i pomaszerował w stronę swojego dżipa.

Emma mogła jeszcze słyszeć, jak mruczy do siebie coś o zimnym prysznicu i abstynencji. Roześmiała się rozbawiona i weszła do środka.

Następny poranek był pochmurny. Zanościło się na deszcz. W kuchni Jill i Mattie siedziały przy stole i popijały kawę. Wyglądało, jakby plotkowały. Czy to nie miłe? Moja rodzina, pomyślała Emma.

Mattie wstała i podała Emmie filiżankę kawy.

- Dziś na śniadanie omlet z szynką, zieloną papryką i serem - powiedziała. - Jeśli się zgadzasz, po prostu kiwnij głową. Wszak wiemy, że o tej porze jeszcze śpisz, nawet jeśli już chodzisz. Tylko daj znać, że się zgadzasz.

- Wy coś knujecie - zaśmiała się Emma.

- Tak. Chcemy, żebyś jak najszybciej się obudziła.

- Czy mogę wiedzieć dlaczego?

- Musimy zaplanować dwa wesela - przypomniała Jill, jakby Emma mogła o tym zapomnieć.

- I już coś wymyśliłyście? - odgadła Emma, pociągając potężny łyk kawy.

- Jesteście moją jedyną rodziną - stwierdziła Jill. - Taka jestem szczęśliwa, że mam siostrę. Przez całą noc myślałam o propozycji Emmy, żeby mnie zaadoptować. Emmo, jesteś kochana. Czy też mogłabym mówić do pani Mattie? - zwróciła się z wahaniem do gospodyni.

Mattie pojaśniała.

- Oczywiście. Będzie bardzo dobrze, jeśli obie będziecie do mnie tak mówić. Dwie, drogie mi młode kobiety, nazywające mnie tak miło.

- Dzięki! - Jill pocałowała Mattie w policzek. - Zatem zgadzacie się, żeby to było podwójne wesele? I żebym ja się tym zajęła?

Popatrzyły na Jill zaskoczone. Jakby na inną osobę, której wcześniej nie znały. Na silną, zdecydowaną, uśmiechniętą dziewczynę, życzliwą im tak bardzo i bliską.

- Oczywiście! - zawołała Emma. - Będzie cudownie, jeśli pomożesz w przygotowaniach.

- Tak, moje panny, ale nie wszystko naraz - zauważyła Mattie.

- Teraz zająć się omletami. Na koronki i organ-dynę przyjdzie czas później.

Nie zjadły jeszcze nawet połowy śniadania, kiedy Jill nie wytrzymała i powróciła do weselnych tematów.

- Czy chcecie, żeby to było wspólne wesele?

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu, nie chciałabym hucznego wesela - przyznała Mattie. - To będzie moje drugie małżeństwo. Brałam już, wiele lat temu, ślub w białej sukni z welonem. To było dawno. Teraz wołałabym cichy ślub, bez

gości weselnych. Tylko rodzina. Rozmawialiśmy już o tym z Robertem. Moglibyśmy wyjechać do Nevady i tam się pobrać.

- Jeśli myślisz o cichym ślubie, jest na to znacznie prostszy sposób. Nie musisz wyjeżdżać do Las Vegas - zauważyła Emma. - Możecie wziąć cichy ślub tutaj, w Balleymore. To wcale nie musi być w kościele. Możecie poprosić Barbarę Hardy, żeby udzieliła wam ślubu w domu. Co o tym myślisz? - Emma spojrzała pytająco na Jill.

Jill skinęła głową.

- Tak, to dobry pomysł - powiedziała. - Ale to znaczy, że będą dwa śluby osobno. Ty i John weźmiecie uroczysty ślub w kościele. I wyprawicie huczne wesele.

- Co takiego?

- Nie wyglupiaj się, Emma - powiedziała Jill. - John zna tu mnóstwo osób i nie darują mu, jeśli nie zaprosi ich na wesele. Poza tym, czy nie chcesz prawdziwej, uroczystej ceremonii w białej sukni?

Pamiętam moje marzenia, pomyślała Emma. Wyobrażałam sobie, jak idę przez kościół w bieli, dochodzę do ołtarza, gdzie czeka na mnie mój wymarzony książę, mężczyzna z moich snów... To może się spełnić. On jest moim księciem z bajki.

- Tak - powiedziała do Mattie i Jill. - Chcę, żeby to był uroczysty ślub.

- Jest jeszcze kilka spraw - stwierdziła z powagą Jill.

- Nie lubię się przechwalać - dodała Mattie. - Ale rozmawiałam dzisiaj przez telefon z kilkoma osobami. Twoja suknia może być gotowa już za parę dni. Umówiłam cię na jutro na pierwszą przymiarke. Mamy tu w okolicy bardzo dobrą krawcową. Sprawami kulinarnymi ja się zajmę. Cała reszta należy do Jill. Ani ty, ani John już o nic nie musicie się martwić. Oprócz, oczywiście, pierścionka zaręczynowego.

- Musimy ustalić datę ślubów - przypomniała Jill. Emma spojrzała pytająco na Mattie.

- Myślę, że w ciągu dwóch tygodni zdążymy wszystko przygotować. Rozmawialiśmy o tym z Robertem - powiedziała Mattie. - I to naprawdę wspaniale, że nie musimy wyjeżdżać do Las Vegas. Dobrze, Emma, że wpadłaś na ten pomysł.

- Gdzie będziecie mieszkać? - zapytała Emma.

- Tego jeszcze nie ustaliliśmy. Robert sprzedał swój dom nowemu, młodemu doktorowi. Aktualnie wynajmuje mieszkanie. Po przejściu na emeryturę chciałby wyjechać na południe.

- Czy już teraz chce przejść na emeryturę?

- Nie, to jeszcze ładnych parę lat. Umowę z przychodnią ma podpisaną jeszcze na trzy lata, więc na pewno nie wcześniej.

- Jeżeli chcecie nadal mieszkać w tych stronach - powiedziała Emma z wahaniem - to pamiętajcie o tym, że tu, w Balleymore, jest wiele pustych pokoi.

- Będę musiała porozmawiać o tym z Robertem - powiedziała Mattie.

- Byłoby miło, gdybyśmy mogły być blisko siebie - stwierdziła Emma.

John wszedł do kuchni. W swojej dużej, muskularnej dłoni trzymał małe, aksamitne pudełeczko.

- Wczoraj wieczorem obiecałaś, że zostaniesz moją żoną. Oto symbol naszych zaręczyn.

Emma otworzyła małe, błękitne pudełeczko. Pierścień w środku był przepiękny. Cudowny pół-karatowy brylant otoczony niewielkimi szmaragdami. Kocham ten pierścień, pomyślała. Kocham tego człowieka.

- Wspaniały - rzekła, wtulając się w ramiona Johna.

- Tak. Dostałem go od mojej babci. Powiedziała, że kiedy znajdę tę jedną, jedyną, ona pokocha ten pierścień.

Dzień minął szybko. Wieczorem John zaprosił ją do restauracji. Zjedli kolację przy blasku świec i dźwiękach romantycznej muzyki. To był czarowny wieczór. John odwiózł ją do domu, odprowadził do drzwi i pocałował na dobranoc.

- Nie wstąpisz na kawę? - Emma miała na myśli coś więcej niż kawę.

- Nie, dziękuję. Musimy szybko się pobrać. Odwrócił się do niej w drzwiach.

- Jutro jadę do hurtowni kwiatów. Czy nie pojechałabyś ze mną?

- Z przyjemnością. Ale obiecałam Jill, że pozwolę się zaprowadzić do krawcowej, którą wybrała razem z Mattie. Podobno szyje najpiękniejsze suknie ślubne. Co mam jej powiedzieć? Że ustaliliśmy termin wesela za trzy tygodnie?

- Trzy tygodnie - westchnął John. - Nie wiem, czy tak długo wytrzymam.

- John - zaproponowała Emma. - Miesiąc miodowy moglibyśmy zacząć już teraz.

- Nie kuś mnie, kobieto-szatanie! - krzyknął John. - Dobranoc, wychodzę. Gdybym został choć minutę dłużej, na pewno bym nie wytrzymał. Dobranoc.

Mattie wzięła cichy ślub w Balleymore tydzień wcześniej niż Emma.

Jill zorganizowała wesele naprawdę wspaniale. Mattie przygotowywała przysmaki przez trzy dni. Z farmy Weldów dostarczono wiązanki kwiatów. Oczywiście były to róże. Kościół udekorowano kwiatami. Pani pastor była gotowa.

Emma stała przy wejściu do kościoła w długiej białej sukni, w koronkowym welonie.

Zacznijmy wreszcie to przedstawienie, myślała nerwowo.

Przy niej stał pan Hendricks, prawnik. Bowiem, gdy dowiedział się o dokładnej dacie ślubu, obiecał zaopiekować się Emmą jak ojciec, aż do momentu przekazania dziewczyny panu młodemu.

Słońce świeciło jasno. Zbyt jasno. Pomyślała, że oślepią ją zupełnie i że nie widzi Johna. A może on nie przyjdzie? Może się rozmyślił?

Wreszcie wypatrzyła go w tłumie. Prawdę powiedziawszy nie trzeba go było długo szukać, gdyż stał kilka kroków od niej. Odetchnęła z ulgą.

Dobrze, że skończyłam maszynopis mojej książki, pomyślała. Teraz zupełnie nie miałabym do tego głowy. Teraz jestem zbyt szczęśliwa, by myśleć o czymkolwiek.

John podszedł. Ujął jej dłoń. I nagle wszystko zrozumiała. To był jej czas. Jej szczęście. Przyszłość wspanialsza niż wszystkie obłoki marzeń.

Niewiele pamiętała z całej ceremonii. Wiedziała jednakże, kiedy powinna była powiedzieć „tak”. Zapamiętała pocałunek.

Tego nie dało się zapomnieć. Przez chwilę żałowała, że Jill zaplanowała przyjęcie. Wydało jej się to stratą czasu. Każda sekunda, która dzieliła ją od Johna, wydała jej się straszna. Jill podeszła do młodej pary.

- Czy nie miałeś wieści od Luke'a? - zapytała z wahaniem.

- Mam pewne informacje, jednak nie bezpośrednio od niego. Czy chciałabyś go odnaleźć?

- Wręcz przeciwnie - zaśmiała się Jill. - Chciałabym mieć pewność, że prędko się nie spotkamy.

- Widziano go na statku pasażerskim na rzece St. Lawren-ce - powiedział John.

- Podróżuje w poszukiwaniu bogatej kobiety - rzekła Jill z goryczą.

Nagle rozpromieniła się.

- John, czy mógłbyś mnie przedstawić temu wysokiemu z ciemnymi włosami? - zawołała. - On nie jest żonaty? Prawda?

Wskazała na Jesse'a Fernandezę.

- Nie znalazł jeszcze żony - powiedział John. - Zawsze mówi, że ma na to jeszcze mnóstwo czasu.

- Och, czyżby? - zaśmiała się Jill. - Wcale nie musisz mnie przedstawiać. Sama sobie poradzę.

Emma patrzyła ze zdumieniem na Jill podbiegającą radośnie do Jesse'a.

- Czy myślisz, że coś z tego będzie? - zapytała.

- Wygląda na to, że dość szybko - prorokował John. - Jill rzeczywiście potrafi sobie poradzić.

John rozejrzał się po pokoju. Goście zbierali się wreszcie do wyjścia. Można było zacząć miodowy miesiąc. Jakże długo na to czekali.

Ze śmiechem wyruszyli na górę do sypialni małżeńskiej starannie przygotowanej im przez Mattie.

Następnego dnia rano zadzwonił telefon.

- Tak - powiedział mężczyzna. - Moje nazwisko Lindsey Kimball. Jestem agentem pani Emmy Ballentine. Czy mogę rozmawiać z moją klientką?

Jill odebrała telefon.

- Niestety, nie może pan rozmawiać z Emmą. Ona wczoraj wyszła za mąż. Proszę zostawić wiadomość.

- Jak długo to potrwa? - zapytał mężczyzna.

- Nie jestem pewna - odparła Jill. - Prawdopodobnie około pięćdziesięciu lat.

- Gdzie mogę zastać moją klientkę? - Agent domagał się odpowiedzi.

- Och, naprawdę nie wiem - droczyła się z nim JUL

- To straszne - jęknął mężczyzna. - I co ja teraz zrobię?

- O co chodzi? - zapytała Jill uprzejmie. - Może mogłabym pomóc.

- Proszę mi powiedzieć, gdzie jest Emma Ballentine.

- Przykro mi. Nie mogę tego zrobić.

- Czy może mówiła coś o książce, którą zobowiązała się napisać?

- Och, czy ma pan na myśli tę książkę, którą wczoraj wysłała pocztą?

- Wysłała do mnie książkę? - upewnił się agent.

- Tak. Powiedziała, że pan zadzwoni i zapyta. Prosiła o przekazanie, że książka już wysłana.

Agent odetchnął z ulgą.

Jill nie ukrywała rozbawienia.

W sypialni na górze nowożeńcy nie tracili czasu. John, jak mokry pies, otrząsnął się z kropel potu. Pani Weld połaskotała go w stopy i spojrzała pytająco.

- Słuchaj, już nie mam siły - zaprotestował. - Muszę odpocząć.

Ręka pani Weld błędziła po jego ciele.

- John, jeszcze tylko raz. Szybciutko, zrobimy to jeszcze raz.

Wziął ją w szaleńczym pożądaniu, z pasją, namiętnością. Wzniosła się do gwiazd, a potem bez tchu leżała na materacu.

- Zamęczysz mnie na śmierć - mruknął.

- Jak tylko złapię oddech, zajmę się organizacją pogrzebu. Będzie mi ciebie brakowało, uwierz mi.

- Piekielna kobieto - powiedział John. - Ciekaw jestem, jaki jest rekord świata w tych rzeczach...

Jego żona nie odpowiedziała. Była zajęta czymś innym.